ROK I. PAŹDZIERNIK TOM IV.





DZWONEK Częstochowski

PISMO MIESIĘCZNE

ILLUSTROWANE

POD REDAKCJĄ

KSIĘDZA JÓZEFA ADAMCZYKA

Adres Redakcyi i Administracyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą (dom Proszowskiego)
Skład w Warszawie: Ulica Żórawia Nr. 18

„DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI"

PISMO MIESIĘCZNE ILŁUSTROWANE

Pod redakcyą Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA

Zawierać będzie:

1. Artykuły treści teologicznej. 2. Powieści, opowiadania historyczne, poezye. 3. Modlitwy prozą i wierszem. 4. Żywoty Świętych Pańskich, Ojców Kościoła, wielkich Papieży oraz mężów zasługi i pracy. 5. Obrazy z historyi Kościoła rzymsko-katolickiego. 6. Kronikę krajową i zagraniczną, z obszernem uwzględnieniem spraw kościelno-religijnych i tyczących się Częstochowy. 7. Oceny nadesłanych do redakcyi książek. 8. Ogłoszenia.

Dla prenumeratorów DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO redakcya ofiaruje po zniżonej cenie książkę

Obrazy w Sali Rycerskiej na Jasnej Gòrze

ozdobione kolorowemi, artystycznie wykonanemi illustracyami

Cena katalogowa „Obrazów w Sali Rycerskiej na Jasnej Górze" za egzemplarz ozdobnie oprawny 1 rub. 50 kop., **dla prenumeratorów DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO,** ustępuje się 33%.

W roku bieżącym „DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI" między innemi drukować będzie obszernie opracowany, z artystycznie wykonanemi illustracyami

Żywot Pana naszego Jezusa Chrystusa

oraz pięknie illustrowane

Dzieje Klasztoru Jasnogórskiego

Prenumerata „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO" wynosi:

W Częstochowie:		Z przesyłką pocztową:	
rocznie	Rs. 3 kop.—	rocznie	Rs. 4—
półrocznie	„ 1 „ 50	półrocznie	„ 2—
kwartalnie	„ — „ 75	kwartalnie	„ 1—

W Austryi:		W Niemczech:	
rocznie	guldenów 6—	rocznie	marek 10—
półrocznie	„ 3—	półrocznie	„ 5—

Cena ogłoszeń „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO":

Za zamieszczone na całej	stronicy	rs. 12—
„ „ na połowie	„	„ 8—
„ „ na czwartej części	„	„ 5—

Za wiersz zwykłego ogłoszenia kop. 75.

Adres Redakcyi i Administracyi: Częstochowa pod Jasną-Górą, (dom Proszowskiego).

ROK I. PAŹDZIERNIK TOM IV.

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi i Administracyi: pod Jasną-Górą (dom Proszowskiego)

Skład w Warszawie: Ulica Żórawia Nr. 18.

1901

Redaktor i Wydawca: **Ks. Józef Adamczyk.** *Druk Warsz. Tow. Akc. Art.-Wydawn.*

Дозволено цензурою.
Варшава 16 октября 1901 г.

Treść tomu IV.

ILLUSTRACYE:



Od Redakcyi.

Po wydaniu pierwszego okazowego tomu „Dzwonka Częstochowskiego," czekaliśmy w pokorze i z bijącem sercem, jak zostanie przyjęty ten czciciel Maryi przez społeczeństwo. I czekaliśmy niedługo: odpowiedź niebawem nadeszła.

Wszystkie niemal organy prasy, oceniając potrzeby społeczeństwa, wypowiedziały jasno, że „Dzwonek Częstochowski" nie tylko nie jest zbytecznym, ale wielce pożądanym, koniecznym w naszym kraju.

Inne ludy katolickie mają nie jedno, ale po kilka i po kilkanaście czasopism, poświęconych czci Maryi, u nas dotychczas nie było żadnego.

Wśród głosów prasy najwymowniej w tym duchu przemawiają „Przegląd Katolicki" i „Kronika Rodzinna." Cieszy nas to wielce, nietylko dla tego, żeśmy w tych organach, kierowanych przez duchowieństwo, znaleźli otwarte bratnie ramiona, ale i dla tej przyczyny, iż to bratnie przyjęcie jest niezbitym dowodem solidarności kapłańskiej u nas, tak bardzo pożądanej na polu pracy społecznej.

Przesłaliśmy „Dzwonek Częstochowski" prawie wszystkim Braciom Kapłanom, — wszyscy go mile przyjęli, żaden czciciel Maryi od progu domu swego nie odprawił z przykrem słowem.

Dzięki Wam za to, Bracia-Kapłani!

Ślemy słowa podzięki i tym Kapłanom, którzy z różnych dyecezyi, obcy nam, nieznani, przyszli do nas, ażeby serdecznym uściskiem dłoni dodać odwagi, zachęcić do wytrwałej pracy; — mówimy obcy, nieznani, lecz złe to wyrażenie, gdyż słudzy Boga i Maryi, choćby w różnych i odległych stronach świata pracowali, nie są dla siebie obcy, nieznani, tak, jak obcymi nie byli dla siebie Święci Paweł i Antoni: choć nie wiedząc o sobie, na różnych puszczach Bogu służyli.

Bóg zapłać i Wam, kierownicy opinii publicznej, którzy stoicie na czele ruchu umysłowego. Oceniliście naszą myśl, nasze dobre chęci, dodaliście nam serdecznem słowem zachęty i hartu do podjętej pracy.

Dzięki więc niech będą Bogu i Matce Najświętszej za tę miłość i jedność bratnią, która wśród nas panuje.

Radość przejmuje nasze serce, że odtąd, Dzwonek Częstochowski" dzwonić będzie dla wszystkich bez różnicy stanu czcicieli Maryi, ożywionych gorącym duchem wielbienia Jej w najdalszych zakątkach ziemi naszej.

Niechże ten „Dzwonek Częstochowski" dostanie się pod dach dworów, pod strzechy chat, aby tam wydzwaniał chwałę Matki Zbawiciela, tak, jak o świętej Jej opiece przypomina każdemu z nas Obraz Tej Przenajświętszej, w każdym domu chrześcijańskim wiszący, a przed nim lampka gorejąca.

Aby się tak stało, wiele pomoże żywe słowo kapłańskie. Jak zaś to żywe słowo zachęty jest skutecznem, dowody są zbyteczne. Nie możemy jednak przemilczeć jednego z nich, wielce dla nas radosnego.

W pewnej parafii, w Dyecezyi Kieleckiej, każda róża żywego Różańca w tej parafii zapragnęła mieć dla siebie „Dzwonek Częstochowski, w jednej więc parafii zabłysło dwanaście ognisk, w których po odśpiewaniu Różańca uczą się z kart „Dzwonka Częstochowskiego" czcić i wielbić Królowę Niebios.

Śmiałość naszą w wypowiadaniu nadziei, co do rozpowszechnienia w każdym domu chrześcijańskim czciciela Maryi, usprawiedliwiamy tem uznaniem, którego dowody otrzymuje „Dzwonek Częstochowski" codziennie, nietylko od duchowieństwa ale i cd osób należących do różnych warstw społecznych, od najniższych do najwyższych. W listach swych błogosławią one dobre nasze zamiary, dziękują za pożądaną strawę duchową i zachęcają do wytrwałej pracy.

Bogu więc Wszechmocnemu, Opiece Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej i Waszym, Czytelnicy, modlitwom polecamy się w zbożnej pracy naszej.





Klasztor Świętokrzyski na Łysej Górze.

Krzyż Święty.

Wszyscy ludzie od czasów najdawniejszych mają to sobie za właściwe, iż tworząc pojedyncze czy to gminy, a nawet państwa, używają pewnych haseł lub sztandarów, pod którymi w czasie potrzeby wspólnie się jednoczą.

Tak świat starożytny rzymski występował pod cieniem swych orłów, tak i dzisiejsze państwa posługują się symbolem tegoż króla ptaków, lub lwa, lub innymi symbolami, które służą za pieczęć nietylko dla każdego obywatela, ale i dla całego państwa. Wszystkie te jednak symbole i sztandary łączą tylko pojedyńcze jednostki w osobne narody; dla jednych są oznaką jedności, dla drugich powodem nienawiści i zemsty, bo co kocha jeden jako swoje, tego nienawidzi drugi jako obce. A jakiż jest symbol i sztandar, któryby jednoczył wszystkich, nikogo nie rozdzielał, wszystkich obejmował ramieniem miłości, nikogo nie szarpał? Takim sztandarem jest nie inny, jak tylko Krzyż Zbawiciela, o którego historyi mówić zamierzamy. Nim się znaczy mieszkaniec Europy, pod Jego znakiem występuje Negr Afryki, widok Krzyża rozjaśnia oblicze Amerykanina, cieszy żółtolicego Malajczyka.

Krzyż był u pogan i Żydów oznaką hańby, do niego przybijano największych zbrodniarzy. Z chwilą, gdy na Krzyżu zawisł Jezus, Zbawca narodów, stał się krzyż uwielbionym i pełnym chwały,—lecz jak promienie i ciepło słońca nie okazuje całej swojej potęgi zaraz po wschodzie, tak i Krzyż Święty ukazał się w pełni majestatu nie zaraz po śmierci Zbawiciela, lecz po trzystu latach walki z pogaństwem. Uczy nas tego historya, po zdjęciu bowiem Pana Jezusa z krzyża, Żydzi rzucili to drzewo święte do jaskini i zasypali gruzami, a chrześcijanie pierwszych trzech wieków, kryjąc się sami po katakumbach, jako symbol swej wiary używali znaku ryby. Dopiero na początku

wieku czwartego zatknął znak Krzyża nad światem całym cesarz Konstantyn Wielki, co miało miejsce przy następujących okolicznościach.

O panowanie nad Cesarstwem Rzymskiem równocześnie ubiegało się trzech wodzów: Konstantyn, Maksencyusz i Licyniusz; los wygranej zdawał się być po stronie dwóch ostatnich, gdyż za tem przemawiała przeważna ich liczba wojska. Konstantyn, chociaż poganin, jako syn chrześcijanki Świętej Heleny, słyszał od niej wiele o Chrystusie, to też przed bitwą z Maksencyuszem modlił się do Boga prawie mu nieznanego i, o dziwo, został wysłuchanym. O południu nietylko sam, ale i cała jego armia widzą na niebie krzyż ognisty z napisem: „In hoc signo vinces."—Pod tym znakiem zwyciężysz. We śnie zaś tejże nocy ukazuje mu się sam Zbawiciel i rozkazuje uczynić zamiast wojskowego proporca Krzyż, a napewno zwycięstwo otrzyma. Usłuchał Konstantyn rozkazu Zbawiciela, a gdy na drugi dzień niesiony przed wojskiem Krzyż Święty, żołnierze, przeważnie chrześcijanie, ujrzeli godło swej wiary, ufni w pomoc Jezusa, rzucili się z zapałem na armię Maksencyusza, znieśli ją, zdobyli Rzym, zaś Maksencyusz w czasie ucieczki utonął w Tybrze. Pokonawszy Maksencyusza, Konstantyn walczy dalej z Licyniuszem, który się uplacował na wschodzie, a gdy i tego pokonał, stawszy się panem tak wschodniego, jak i zachodniego cesarstwa, przez wdzięczność ku Krzyżowi Świętemu, przez który nieprzyjaciół zwyciężył, wiarę chrześcijańską ogłosił za wiarę całego państwa, rozkazał Krzyż zatknąć na wszystkich gmachach publicznych i nosić stale przed wojskiem we wszystkich bitwach, co miało miejsce w roku 312.

Zwycięztwo, otrzymane w imię Krzyża Świętego przez Konstantyna, zapala serce jego matki Świętej Heleny pragnieniem odnalezienia tego Krzyża, na którym Jezus skończył swe życie na Kalwaryi. W tym celu Święta Helena udaje się do Jeruzalem i przy pomocy Świętego Makarego, ówczesnego patryarchy Jerozolimskiego, badając ludzi starych, gdzieby owa święta pamiątka mogła się znajdować, oraz przez objawienie pouczona, odnajduje w jednem ze sklepień Grobu Chrystusowego trzy krzyże wraz z tablicą i napisem Piłata, ale leżącą oddzielnie od krzyżów. Wśród niepewności, na którym z tych krzyżów skonał Zbawiciel następujący cud ukazał na prawdziwe drzewo żywota.

Święty Makary dotyka każdym z krzyżów po kolei chorej niewiasty, która dopiero za dotknięciem trzeciego krzyża cudownie uzdrowioną została; cudem tym jawnie ukazał Zbawiciel na drzewo śmiercią Świętą uświęcone. Tutaj znalazła Święta Helena zarazem i gwoździe, którymi Ciało Święte było do Krzyża przybite, a łatwo je było rozpoznać od gwoździ, którymi byli przybici do krzyżów dwaj łotrzy, gdyż te ostatnie prawie zupełnie rdza zniszczyła, gwoździe zaś, które przeszyły ręce i stopy Zbawiciela, pozostały jak nowe, przez rdzę zupełnie nietknięte.

Cesarzowa Swięta Helena kazała wybudować wspaniały kościół na miejscu, gdzie drzewo Krzyża Świętego cudownie odnalezione zostało. Jedną połowę Jego w bogaty relikwiarz oprawną zostawiła w tym kościele w Jerozolimie, drugą zawiozła cesarzowi do Konstantynopola Ten, część relikwi pozostawił w swojej stolicy, a resztę odesłał do Rzymu, gdzie zbudował kościół, w którym oną relikwię umieścił, nazywając ten przybytek Boży Kościołem Krzyża Świętego Jerozolimskiego.

Z trzech gwoździ, którymi Jezus był przybity do Krzyża, jeden był umieszczony przy zbroi wojennej Konstantyna, drugi na jego koronie, a trzeci Święta Helena wrzuciła w morze Azyatyckie w czasie wielkiej burzy, która natychmiast ustała. Gwóźdź ten jednak nie zaginął, gdyż wypłynął na wierzch wody, jak niegdyś siekiera Elizeusza, wskutek czego cesarzowa szczególne do niego miała nabożeństwo i podarowała go kościołowi Trewirskiemu, którego biskupem był podówczas Święty Agrycyusz. W czasach następnych gwóźdź będący przy koronie cesarskiej stał się własnością kościoła Swiętego Jana na Lateranie w Rzymie, a gwóźdź będący przy zbroi, posiada dziś katedra medyolańska. Odnalezienie tak wielkiej ceny relikwii obchodzi Kościół Swięty rok rocznie pamiątkową uroczystością, w dniu 3 maja.

Blisko lat trzysta pozostawała spokojnie część drzewa Krzyża Swiętego, zostawiona przez Świętą Helenę w kościele Jerozolimskim, gdzie należytą od niewiernych odbierała chwałę, aż w roku 615 uniesioną została do Persyi.

Chozroes II, syn Hormidara króla perskiego, wyniesiony na tron w roku 591 był tak okrutnym, iż własnego ojca zamordował. Znienawidzony przez wszystkich, uciekł do Konstantynopola, do cesarza Maurycego, który go nietylko gościnnie przyjął, ale jeszcze do odzyskania tronu dopomógł. Gdy wkrótce potem Fokas, z prostego żołnierza zostawszy wodzem i ogłosiwszy się cesarzem, zamordował cesarza Maurycego wraz z czterema jego synami, Chozroes, chcąc pomścić śmierć swojego dobroczyńcy, wypowiedział wojnę Fokasowi, pobił go w wielu bitwach i obległ stolicę Konstantynopol. Następca Fokasa, Herakliusz, syn wielkorządcy afrykańskiego, starał się w roku 610 zawrzeć pokój z Persyą, lecz Chozroes, wzbity w pychę swemi zwycięstwami, nie chciał przyjąć żadnych warunków, a co gorsza, w roku 615 wtargnął do Palestyny, zdobył Jerozolimę, wziął do niewoli wielu mieszkańców, a między nimi Zacharyasza, patryarchę Jerozolimskiego. Jak wiele przytem zginęło chrześcijan, wnosić można z tego, że sami żydzi, za zgodą persów 100,000 chrześcijan wymordowali. Straszna to była klęska, której ogrom potęgował się tem więcej, że Chozroes, zabierając z kościołów jerozolimskich wszystkie naczynia święte, uwiózł do Persyi i drzewo Krzyża Świętego. Poganie z wielkim tryumfem zanieśli tę

świętą Relikwię do miasta Krezyfonu nad Tygrem, gdzie zamierzali spalić ją na ofiarę przy swoich obrządkach zabobonnych. Lecz Drzewo Krzyża Świętego, chociaż znajdowało się w rękach swoich nieprzyjaciół, zmusiło ich do obchodzenia się z niem z takiem uszanowaniem, jak niegdyś Filistyni z Arką Pańską. Żaden z Persów nie śmiał dotknąć tych świętości, które pozostały zamknięte w srebrnej pochwie, w której umieszczone zostały przez cesarza Konstantyna i sam Chozroes, chociaż chciwy zawsze na srebro, tajemną jakąś siłą wstrzymywany zostawał, aby tego skarbu nie tknąć. Patryarcha zaś Zacharyasz nie spuszczał z oczu świętych Relikwii, do których go tam Opatrzność Boska, jakby na stróża przeznaczała.

Herakliusz, widząc upadek kraju, wskutek wojny z Persami, powtórnie prosił Chozroesa o pokój, ten jednak, uzuchwalony powodzeniem swojego oręża, za pierwszy warunek pokoju Herakliuszowi postawił wyrzeczenie się Jezusa Chrystusa, a uznanie za boga słońca, które Persowie za bóstwo uznawali. To wszystko nietylko Herakliusza, ale i wszystkich chrześcijan oburzyło do tego stopnia, iż postanowili do ostatniej kropli krwi walczyć za wiarę świętą i Zbawiciela. Stanęły naprzeciw siebie dwie armie, nim się zwarły w krwawym uścisku ze sobą. Herakliusz, spostrzegłszy upadającego ducha swoich żołnierzy na widok liczniejszej armii nieprzyjacielskiej, przebiegł szeregi z Obrazem w ręku Matki Najświętszej, a ukazując nań, mówił: „Nie my będziemy się potykać, ale Marya, Której Syn przez Persów znieważony“, czem ożywione wojsko rzuciło się mężnie na wroga i pobiło go na głowę. Chozroes zbiera jeszcze liczniejsze szyki, powierza je najzdolniejszemu swemu dowódcy i powtórną z Herakliuszem stacza bitwę. Od brzasku do południa krwawa toczyła się walka; Persowie z podwójną biją się natarczywością pod której naporem chwieją się pułki Herakliusza, co widząc cesarz, pada na kolana, wzywając opieki Matki Boskiej. Naraz wszczyna się straszna burza, grad bije w oczy Persów i tak miesza ich szyki, że Herakliusz odnosi zupełne zwycięstwo. Pokonany Chozroes ucieka w głąb Persyi, gdzie jeszcze raz staje do walki, lecz wojsko jego doszczętnie zniesione zostało, a wszyscy wodzowie jego do niewoli się dostali; ta porażka zgubiła ostatecznie króla Persów, gdyż starszy syn jego Syroes podniósł przeciwko niemu bunt, zamordował go i sam objął rządy. Panowanie swoje rozpoczął od zawarcia pokoju z Herakliuszem, do którego przystąpiono pod warunkiem, że Syroes odda Drzewo Krzyża Świętego i wypuści na wolność patryarchę Zacharyasza. Zgodził się na wszystko, a Herakliusz odzyskawszy Drzewo Święte, udał się z Niem do Konstantynopola. Wszystek lud, mając na czele swojem duchowieństwo z zapalonemi świecami i gałązkami oliwnemi w ręku wyszedł na jego spotkanie, a śpiewając hymny

i pieśni pobożne, z weselem wielkiem przyjął w mury miasta tę Świętą pamiątkę. W roku następnym 629 cesarz Herakliusz wsiadł na okręt, aby Drzewo Krzyża Świętego zawieźć napowrót do Jerozolimy i złożyć tam Panu Bogu dzięki za odniesione nad Persami zwycięstwo. Łatwo wystawić sobie, z jak wielką radością ludność tego miasta przyjęła to Drzewo przenajświętsze, które było jej własnością, a do którego najwyższą przywiązywała cenę. I tu duchowieństwo wraz z ludem wyszło na spotkanie Relikwii Świętych, które odebrano napowrót od nieprzyjaciół wiary chrześcijańskiej po tylu krwawych, a cudownych zwycięstwach. Cesarz, przybrany w najbogatsze szaty, chciał sam zanieść na Kalwaryę to Życiodawcze Drzewo. Poprzedzony przez duchowieństwom, mając przy boku patryarchę i najwyższych panów dworu, wśród niezliczonego tłumu ludu, wziął Krzyż Święty na barki. Lecz przybywszy do bramy miasta, wiodącej na Kalwaryę, ani kroku dalej postąpić nie mógł. Zdziwiło to wszystkich, a Patryarcha Zacharyasz odgadując, co było tego powodem: „Cesarzu—rzekł do Herakliusza,—racz zwrócić na to uwagę, że w tym przepysznym stroju, jaki masz na sobie, niosąc Krzyż Święty, nie jesteś podobny do ubogiego i pokornego Chrystusa, gdy przez tę bramę szedł z tymże Krzyżem na Kalwaryę.“ Pobożny cesarz, rozumiejąc, co to znaczy, złożył monarsze szaty, rzucił szyszak i koronę, zdjął nawet obuwie i przywdziawszy bardzo skromne odzienie, zaszedł bez żadnej trudności na Świętą Górę i złożywszy tam Drzewo Krzyżowe, poprosił patryarchę, aby otworzył futerał i okazał Relikwie ludowi.

Zacharyasz przerwał pieczęcie, przekonał się, że były nienaruszone, otworzył pochwę srebrną kluczami, które przechowane zostały w skarbcu kościoła Jerozolimskiego i gdy lud z pobożnym jękiem padał na ziemię, umieścił Krzyż Święty na temże miejscu, skąd go przed laty czternastu porwali byli Persowie.

Dnia 14 września roku Pańskiego 629, raczył Pan Bóg *Podwyższyć* to swoje narzędzie ludzkiego zbawienia tak świetnym obchodem, przy którym i wielu cudami niezwłocznie zasłynęło i objawiła się moc Krzyża Świętego. Jeden umarły został wskrzeszony, czterech paralityków odzyskało zdrowie, piętnastu ślepych przewidziało i dziesięciu trędowatych było oczyszczonych. Z wielu opętanych wyszedł szatan i mnóstwo chorych wróciło uzdrowionych. Cesarz zaś hojnemi jałmużnami dzień ten odznaczył: bogate dary i zapisy poczynił dla kościoła Jerozolimskiego, przywrócił na stolicę Patryarchę Zacharyasza i innych duchownych do ich godności, wznosząc przytem i po cesarsku uposażając wiele innych zakładów dobroczynnych.

Na doroczną więc pamiątkę tej chwili ustanowiona została uroczystość Podwyższenia Krzyża Świętego, na którą w dawnych wiekach

z całego świata chrześcijańskiego zgromadzały się do Jerozolimy wielkie tłumy pobożnych pielgrzymów wszelkiego stanu, płci i wieku. Wszelako i przed tym już czasem w Kościele Bożym podobneż Święto obchodzono, a to i na uczczenie tych słów Pana Jezusa:

„A ja jeśli będę podwyższon od ziemi, pociągnę wszystko do Siebie“ i na pamiątkę swobodnego oddawania czci znamieniowi Krzyża Świętego, od czasów, gdy za cesarza Konstantyna Wielkiego, obrzędy chrześcijańskie jawnie i publicznie odprawiać się zaczęły.

Tak więc odzyskało Jeruzalem swój skarb największy, posiada tę relikwie Konstantynopol, widzimy ją i w Rzymie, lecz czy inne kraje nie pragnęły posiadać choć maleńkiej cząsteczki Drzewa Żywota? Jeszcze Święty Cyryl, będący w dwadzieścia lat po Świętym Makarym biskupem Jerozolimskim, świadczy, iż w krótkim czasie po wszystkich częściach świata rozniesione zostały cząstki Krzyża Świętego z Jerozolimy, gdyż i jego poprzednicy i on sam udzielali ich znakomitszym pielgrzymom, przybywającym do Ziemi Swiętej w celu ujrzenia i uczczenia tej najświętszej Relikwii. Tenże biskup przydaje, jako naoczny tego świadek, że część ta Drzewa Świętego, nie zmniejszała się wcale, chociaż z niej tak często po kawałku ujmowano, i że się na niej ciągle ponawiał cud rozmnożenia pięciu chlebów, gdyż i ono udzielane bezustannie, nie ubywało wcale. Święty Paulin, żyjący w początkach piątego wieku, pisząc o tem, powiada, że cudowną tę własność Drzewa Krzyża Świętego, które jakby drzewo żyjące ciągle odrasta, nadało mu zetknięcie się z Boskiem Ciałem Jezusowem, które na temże drzewie śmierć poniósłszy, śmierć zwyciężyło przez chwalebne swoje Zmartwychwstanie.

Bogaty pod tym względem jest i kraj nasz także, gdyż w wielu kościołach znajdują się drogie szczątki - Drzewa Świętego. Największą cząstkę Krzyża Świętego posiada kościół na Łysej Górze po O.O. Benedyktynach, którą otrzymali od księcia Eryka, królewicza węgierskiego. Widok tego z najstarszych klasztorów w naszym kraju, jako też i jego wnętrza, podajemy w niniejszym tomie. Fundamenta założył pod świątynię Bolesław Chrobry. w roku 1006. Ma też tę relikwię kościół O.O. Dominikanów w Lublinie. Warszawa czci Drzewo Krzyża Świętego w świątyni pomisyonarskiej, a Jasną-Górę skarbem tym wzbogacił August II, król Polski i Saski, ze swą małżonką Maryą Józefą, którzy Relikwię Drzewa Krzyża Świętego, oprawioną w krzyż kryształowy, złotem i drogiemi kamieniami zdobny, w roku 1742 klasztorowi Jasnogórskiemu ofiarowali. Tę pamiątkę żona Augusta otrzymała od swojej matki Amelii, żony cesarza Józefa I, która ów relikwiarz otrzymała w darze od Papieża Klemensa XI. O.O. Paulini nietylko



Wnętrze świątyni głównej w klasztorze Świętokrzyskim.

wdzięcznem sercem ów dar królewski przyjęli, ale nadto postarali się w Stolicy Apostolskiej o zatwierdzenie bractwa Krzyża Świętego, a otrzymawszy odpowiednią bullę, złożyli ją na ręce biskupa Kazimierza Łubieńskiego, który, zjechawszy do Częstochowy, wraz z licznem duchowieństwem, senatorami i rycerstwem, pragnącem należeć do tego bractwa, po przeczytaniu bulli papieskiej i stosownych modlitwach pierwszy swe imię w albumie bractwa własnoręcznie zapisał, składając przytem złote votum z napisem po łacinie: „Osoba i cały dom mój niech będzie podnóżkiem Tobie, o, potężna Matko Boża!”

Dziwne są zaiste losy Drzewa Żywota... Powstało ono, jak twierdzi Święty Dyonizyusz Areopagita z drzewa wiadomości dobrego i złego, z którego pierwsi nasi rodzice Adam i Ewa owoc w raju zerwali. Cztery tysiące lat czekało nim na niem zawisł błogosławiony Owoc Żywota Najświętszej Maryi, trzysta lat leżało pod gruzami; porwane przez Persów, znów światu chrześcijańskiemu zwrócone na cząsteczki rozrobione, a jednak całe. — Jak drzewo żywota, z którego uczynione było ozdobą raju, tak od czasu znalezienia jest skarbem i krasą całego świata chrześcijańskiego. O słodkie to drzewo, które rozkoszny owoc dźwigało.

Czy jednak ta sława, do jakiej podniósł owo Drzewo Konstantyn z Herakliuszem, trwa zawsze bez zmiany? Zblakła nad Jerozolimą i Konstantynopolem, gdyż z chwilą zalania tych krajów przez mahometan, że się tak wyrażę, wschodnie ramię Krzyża uciętem zostało. Dzisiejsza sekta masońska odrywa niejako od Krzyża i drugie ramię, wysila wszystkie siły, by wywrócić nawet Krzyża fundament. Czy więc Krzyż upadnie? Czy chwała Jego przeminie? O, trzęsła się ziemia, gdy pierwszy raz Go w nią wbito, lecz on nie upadł, nawet się nie pochylił; — nie upadnie i teraz, bo już ma nowego chorążego, który Go w górę podnosi.

Leon XIII na schyłku wieku XIX i początku XX ogłasza wielki jubileusz, a hasłem tej uroczystości—to tryumf Krzyża. Rozkazuje stawiać krzyże na najwyższych górach, wmurowywać Krzyż w najmniejszych kościołach i kaplicach, a zamiast tablicy Piłatowej, wypisuje te wielkie słowa: „Chrystus zwycięża, króluje i panuje.” A na głos tego chorążego świata wznosi się napowrót Krzyż ku chwale i uwielbieniu, ku postrachowi tych jego nieprzyjaciół, którzy sądzili, że Go z oblicza świata zetrzeć potrafili.

Stoją krzyże po kościołach i na szczytach gór,—lecz tego nie dosyć. Znaczmy Nim nasze czoła, piersi i ramiona, a szczególnie nośmy Go w sercu. Niech dusze nasze będą czyste i niepokalane, miejmy odwagę wyznać, że przez nas i w nas zwycięża, panuje i rządzi nie kto

inny, jak tylko Krzyż Chrystusowy. Jeśli na to jeszcze nie mamy odwagi, to przy każdej uroczystości Podwyższenia Świętego Krzyża, idźmy do Tej Najświętszej Panny Maryi Częstochowskiej, błagajmy Jej o męstwo dla siebie, jak Herakliusz dla swego wojska, a gdy wiara w nas odżyje, nietylko z ust, ale i z serc zawsze i wszędzie, popłynie tak miłe dla nas, a straszne dla wrogów Krzyża: — Oto Drzewo Krzyża, uchodźcie nieprzyjaciele!

E. M.



Modlitwa

Zachwyt duszy przed obrazem Matki Bożej.

Wszystka piękna jesteś, o, najukochańsza Matko moja! Jasność Twego oblicza nie zamroczy najmniejszy obłoczek! Ty, jak promienna gwiazda, świecisz ustawicznie podróżującym po niezmierzonych obszarach tego świata. Ty jak świetlany drogowskaz szeroko rozlewasz blaski, by sprowadzić ze złej drogi błądzących! Ty rozlewasz swe wdzięki na wszystkie twory i ożywiasz obumarłe!.. Zwierciadło Boga przedwiecznego, Arko Nowego Przymierza,—Najdroższa perło wszystkich oceanów, któż Cię godnie chwalić może?.. Któryż język wyszepce bez trwogi Twoje wielkie imię?..

— I mnież to niegodnemu daną jest, łaska bym Cię mógł chwalić, o, Maryo?.. Przybądźcie mi z pomocą wszystkie chóry anielskie, zabrzmijcie nadziemskiemi dźwięki,—zlejcie je w jedną cudowną harmonię, uwielbiajcie za mnie godnie niebios i ziemi Królowę!

O jakże wspaniałe — jak przyjemne muszą być śpiewy niebieskich hierarchii, świętych patryarchów, apostołów, doktorów, męczenników, dziewic w służbie Maryi zostających? Szczęśliwy w wiecznem królestwie narodzie wybranych, jakże słodkie, jak porywające muszą być te melodye, któremi bez przestanku czcisz swą Królową, które składasz w każdym momencie jako daninę u stóp tronu Twej Ukochanej i Wszechwładnej Pani!?.. Kiedyż dla mnie nastanie ta chwila, która mię złączy nimi?

Ach, z jakąż niecierpliwością, ufny w Twą, o Matko, łaskę i opiekę, oczekuję tej chwili,—kiedy rozchylą się przed oczami memi piękne niebiosa, aby zaspokoić moje pragnienie! Jakże tęsknię za tym momentem, gdy mi pozwolisz, o, Pani złączyć się ze wszystkimi Twoimi wy-

branymi i powtórzyć za nimi przedziwny hymn uwielbienia, powtórzyć Tobie, mej Matce!

Lecz nim dla mnie zabłyśnie ten dzień szczęśliwy, nim pocznę Cię chwalić w miejscu wiecznego szczęścia, o, Maryo, ja pragnę Cię tu na ziemi niegodnemi memi wargami wysławiać, pragnę rozpowiadać wszystkim ludziom i po całym świecie Twe Wielkie miłosierdzie, Twą dobroć, łaskawość,—i niezgłębioną miłość ku ludziom!

A więc, o, święta Dziewico Maryo, błagam Cię, oczyść me wargi— uczyń je godniejszemi do wysławiania Twego świętego imienia! Pobłogosław mię, Przeczysta Panno, bym Cię mógł należycie chwalić i błogosławić teraz i zawsze. Amen.



NA DZIEŃ

Narodzenia Najświętszej Maryi Panny.

Dzień narodzenia dziecięcia jest przyczyną radości dla każdej, nawet najuboższej rodziny. Nawet po upływie lat wielu mają go w pamięci wszyscy członkowie, jeśli nowonarodzone dziecię przyczyniło się czemkolwiek do szczęścia, lub wywyższenia rodziny. I Kościół też święty, ta wielka rodzina Boża, przez wszystkie czasy swego istnienia z wielką okazałością i weselem obchodził dzień przyjścia na świat Tej, której Syn zapewnił światu całemu zbawienie i szczęście wieczne.

Gdy Jan Swięty, poprzednik Chrystusa Pana, przyszedł na świat, pytali w podziwie mieszkańcy Judei: „*Co to za dziecię będzie?* — Mieli bowiem przed oczami cuda: niepłodna przez lat wiele niewiasta w podeszłych latach obdarzona zostaje od Boga dziecięciem; ojciec—przez czas dłuższy niemowa, otwiera w dniu narodzenia tej dzieciny swe usta, by zanucić Bogu hymn dziękczynny. Wobec tego, przejęci tajemniczem uczuciem bojaźni, w przewidywaniu, że dziecię, już przy narodzeniu odznaczone cudami, w przyszłości wielu innych dopełni, powtarzali w zdumieniu: „co to za dziecię będzie?“

Lecz było jeszcze drugie cudowne narodzenie w tej kraine, przy którem zjawiło się podobne pytanie. Przy narodzeniu niepokalenie czystej Dziewicy Maryi, niebo i ziemia złączyły się w jednem uczuciu zdumienia i wzajemnie sobie powtarzały pytanie: „*co to za dziecię będzie*?„ Radość bez granic, zaiste, zapanowała wśród niebian i ziemi mieszkańców, gdy Bóg odkrył im wielkie przeznaczenie nowonarodzonej Dzieciny. Radowało się niebo, witając swoją Królowę — radowała się ziemia, witając swoją pośredniczkę u Boga.

I.

Niebo wyprzedziło ziemię w powitaniu Maryi. Gdy bowiem w ubogiej chatce, z biednych, choć z królewskiego rodu pochodzących rodziców przyszło na świat Dziecię—Marya,—świat Jej nie poznał i nieprzewidział Jej przyszłej wielkości. Niebianie pierwsi to odgadli: niezliczone szeregi ich natychmiast śpieszą do ubogiej chatki, by powitać dziecinę i wskazać ludziom ten skarb drogi. Ach, i nie opuszczą Jej, dopóki ziemia należycie czcić Jej nie pocznie! Otoczą anieli skrzydły swemi Jej kołyskę, będą Ją do snu zachęcać, czuwać troskliwie nad uśmiechniętą w marzeniach Dzieciną — oddając zarazem najgłębszą cześć temu najwspanialszemu z dzieł Wszechmocnego, swojej Królowej!

Korona tej Niebios Królowej nie z ziemi pochodzi; ta nie ozdobiłaby odpowiednio Jej czoła. W niebieskiej ojczyźnie Przedwieczny przygotował Jej wieniec niewiędnący. — Nie ma Ona tu na ziemi pałacu, bo dla Niej cudowny pałac,—niebo zawsze stoi otworem.—Nie ma ona bogactw, nieodłącznych od tronu i królewskiej godności, lecz Jej serce pełne jest łask Bożych.

Gdy przychodzi na świat dziecię, które kiedyś ma zasiąść na tronie królewskim, z jakimże zachwytem naród wita dzień jego narodzin!... Gdyby jednak odkryć księgę przyszłości nowonarodzonego, gdyby odgadnąć w tej chwili, czem będzie to dziecię kiedyś dla tego narodu, który je wita, jakże często zamiast weselem i radością, smutkiem i łzami otoczyłoby się kołyskę maleńkiego! — Bo któż powie, jaki los czeka to dziecię, przedmiot ogólnej radości w pierwszym dniu swego życia? Może zginie w obronie kraju i ludu swego, może wśród ciężkich i bolesnych przykrości życiowych, może z ręki zdrajcy padnie i nie wstąpi na tron mu przygotowany? Budzi się wśród przepychu, w pałacu, otoczone szczególniejszą troską, ale kto wie, jakie będzie jego konanie i gdzie będzie grób jego? Radość więc przy narodzinach książęcia tej ziemi nie jest zupełną: towarzyszy jej zawsze myśl niepewnej przyszłości, pełna bojaźni i smutku.

Lecz gdy Marya Królowa na świat przychodzi, nie mąci szczęścia owej chwili najmniejsza chmurka, radość i wesele towarzyszą jej zupełne. Ona będzie napewno Niebios Królową i nikt nie potrzebuje się lękać o Jej przyszłość. Nie przerażają Jej smutki wygnańczej ziemi, — nie boi się surowości losu. Ona spędzi wprawdzie wiele dni na ziemi, ale to dlatego, by się pouczyć królować w Niebie. Ona zaznajomi się tu z naszemi potrzebami, kształcić się będzie w szkole przeciwności, ale im więcej ich zazna, tem więcej zdobędzie sobie praw do chwały w niebie; każda Jej łza, — to drogi dya-

ment dla Jej przyszłej korony!.. Nie obawia się ona zabójczego miecza, bo jakkolwiek z woli Najwyższego miecz siedmioraki przebije Jej serce, to jednak szybko przejdą te dni boleści, dni wygnania, po których z tryumfem wstąpi na tron niewzruszony, którym nie zachwieją już żadne przeciwności i który wiecznie trwać będzie.

Oprócz tego, ileż to nadziei, szczęścia i pomyślności składają zazwyczaj narody nowonarodzonemu książęciu. Zdaje się, że z nowym księciem, nowem panowaniem, nowe życie i odrodzenie zupełne nastąpi. Tymczasem oczekiwane szczęście znów z biegiem dni znika, tak jak znikają, lata młode, które je obiecywały. Ileż razy dziecię szczęścia przyniosło same nieszczęścia swym poddanym.

Lecz Marya przyszła na świat po to, aby być szczęśliwą i dzielić się swem szczęściem z podwładnymi. Duchy niebieskie, wy, co kiedyś macie stanowić dwór Maryi, — wy nigdy nie zaznacie większego szczęścia po nad to, jakiego dzisiaj kosztujecie. Otoczcie kołyskę przecudnej Dziewicy: pełni czci i miłości,—nie myślcie, byście kiedy za wiele ją czciły i zawiele miłowały. Święte niebios podwoje pod jej panowaniem napełnią się świętymi, których Ona zasługi powiększy,— dziewicami, których niewinności będzie strzegła,—grzesznikami, którym wyprosi przebaczenie. Ten naród wybrany, uszczęśliwiony samem spojrzeniem w święte oblicze Królowej, upojony niewypowiedzianemi radościami, będzie opiewał przez wszystkie dni wieczności chwałę Maryi— oraz szczęście Jej wiernych sług.

II.

Lecz Marya przyszła na ten świat jeszcze i po to, by się stać pośredniczką między ludźmi a Bogiem. Podczas gdy świat w gnuśności swej ma na celu tylko własny interes,—gdy ludzie, w sporach ustawicznych żyjąc, podzielili się na mnogie obozy, a często krwią zbryzgali ziemię i splamili występkami,—w miasteczku Judzkim rodzi się Przeczysta, Niepokalana Dziewica. Gdyby tak anioł w tym czasie był zstąpił na ziemię aby jej ogłosić wielką tajemnicę, która się wkrótce wypełni, i wielkość Dziecięcia nowonarodzonego,—przemówiłby był zaiste w te słowa: „Oto opowiadam wam wesele wielkie, że dziś się wam narodziła pośredniczka wasza u Boga. Ludy, siedzące w cieniu śmierci, podnieście oczy i obaczcie smutny stan, w jakim was pogrążyły grzechy wasze. Nim ujrzeliście światło dzienne, byliście nieprzyjaciołmi Boga, który was stworzył, i utraciliście Jego przyjaźń na zawsze.—Potrzeba wam łaski, któraby was z Nim pojednała. Tę łaskę otrzymacie przez Maryę, która dziś przychodzi na świat. Nadto: raz wypadłszy z pierwotnej godności, jesteście słabymi i ustawicznie narażonymi na nowe upadki,

potrzeba wam więc nowej łaski, którąby was podtrzymywała i umacniała. Tę łaskę otrzymacie także przez Maryę, a jest nią pojednanie ludzi z Bogiem.

Grzesznicy, zbliżcie się do kołyski: tam spoczywa potężne Dziecię, które wszystko może wyjednać u Wszechmocnego: niech tylko dojdzie lat dojrzałości — a ujrzycie wkrótce skuteczność Jej wstawiennictwa!—Ileż westchnień, ile łez prześle Ona do Nieba, aby wam przyśpieszyć odkupienie!..

O, córo Niebios—czemuż tak jęczymy? Wszakże Ty, wyjęta z pod ogólnego prawa ciążącego na ludzkości, Ty jedna z człowieczeństwem nie przyjęłaś nieszczęsnych skutków grzechu. Czegóż ci więcej potrzeba?..—Ach! Marya wzdycha jeszcze za całym rodzajem ludzkim potępionym i odrzuconym. Z czasem do modlitw przyda zasługi cnót: czystości, gorliwości, pokory, które modlitwę uczynią coraz milszą w oczach Boga. Wreszcie gdy nadejdzie godzina oddawna wyczekiwana,—godzina zjednoczenia, Ona stanie między niebem a ziemią, Bogiem a ludźmi, a przeczyste Jej łono stanie się przybytkiem, w którym złączą się dwie natury: boska z ludzką.—Tak więc narodzenie Przeczystej Diewicy było zapowiednią powszechnego pokoju.

Lecz łaska pojednania ludzi z Bogiem, gładząc grzech pierworodny, nie czyni ludzi niemogącymi grzeszyć nanowo. Doświadczenie nas poucza, że natura ludzka jest słaba i krucha. Przeto Marya znowu stara się wyjednać nam tyle pomocy, ile ich potrzebujemy w naszej niebezpiecznej pielgrzymce na drodze życia. — Bóg chciał, mówi Święty Bernard, byśmy wszystkie łaski otrzymali przez Maryę—Święci Mężowie wyznają, że Jej wstawiennictwu winniśmy wszelką łaskę, która z nieba spływa na ziemię, Ta łaska wytrwałości w dobrem, ta łaska mocy, która nam przyniosła tryumf po zwalczeniu pokusy, — to były dary Maryi. Tę łaskę mądrości i roztropności, która nas oświecała i wyprowadziła z ciemności—winniśmy Maryi! — Chcąc nam te łaski wyjednać Marya przyszła na świat.

Wierni czciciele Maryi, w pokusach zostający, wy, którzy walczycie ciężko, aby zachować w kruchem naczyniu skarb cnoty, — rozradujcie się na myśl, w jakim celu przychodzi na świat wasza Pośredniczka. Ona zna wasze nieszczęście, Ona wam wyjedna lekarstwo.

Nie dziwcież się teraz, że Kościół Święty na ziemi współzawodniczy z Kościołem Swiętym w niebie, i składa Maryi w dniu Jej narodzenia hymny radosne. Wie bowiem Kościół Święty, że Marya jest tarczą obronną dla wszystkich dziatek, pocieszycielką strapionych, podporą słabych, ucieczką grzeszników, Królową nieba, pośredniczką ziemi...

Ks. W. B.

Ostatnie chwile Judasza.

Długo pozostał Judasz bez ruchu w gaju oliwnym, na tem samem miejscu, gdzie dał Jezusowi pocałunek śmierci. Czas jakiś ścigał wzrokiem gromadę zbirów, uprowadzających do Jerozolimy Syna Człowieczego. W krwawem oświetleniu latarni i pochodni smutny ten orszak, uzbrojony w obnażone miecze i włócznie, posuwał się w milczeniu i pośpiesznie, jak banda nocnych złoczyńców, aż wreszcie znikł w oddali. Wtedy Judasz obwinął się spokojnie w długi płaszcz czerwony, a oparty o pień drzewa oliwnego i zwrócony twarzą ku miastu, czekał.

Było już po północy. Księżyc oblewał błękitnawem światłem podmiejskie pola, wały i wieże świętego miasta. Ku wyżynom świątyni wznosił się jakiś szmer poważny, chociaż niewyraźny. W pustyni odpowiadały sobie nawoływania puszczyków. Ogromny nietoperz spoliczkował swem zimnem skrzydłem Judasza, który się wzdrygnął i narzucił sobie na głowę połę płaszcza.

Czekał wciąż. Nagle zwrócił się z dreszczem radości ku bramie ogrodowej, a wyszedłszy z mroków, pobiegł na spotkanie człowieka, który zdawał się upatrywać kogoś w ciemnościach zalegających Getsemani. Był to stary żyd z długą białą brodą—skarbnik Arcykapłana. Wsparty na kiju posuwał się krokiem trwożnym, a dozwoliwszy zbliżyć się do siebie Judaszowi, rzucił mu kiesę skórzaną i nie wyrzekłszy ani słowa, oddalił się prędzej, niż przyszedł.

— Psu nawet jeszcze grzeczniej się rzuca kość do ogryzienia, — mruknął Judasz.

Podniósł kiesę i uśmiechnął się. Była ciężka i wydawała miły brzęk. Wybiegł z lasku i otworzył ją przy bladem świetle księżyca. Blask srebra olśnił go narazie. Po chwili chciwie przeliczył pienią-

dze, zważył każdą sztukę na dłoni i zbadał uważnie jedną z nich, na której popiersie imperatora wydało się mu nieco wytartem.

— Ten—to August—mruknął—cezar umarły. Wolę tych nowiutkich Tyberyuszów... Kapłani żydowscy dotrzymali słowa. To bardzo dobrze.

Ukrył kiesę za pasem i skierował kroki w stronę Jerozolimy. Lekko mu było i czuł się całkiem szczęśliwym. Dla dodania zaś sobie tem większej otuchy, przywoływał na pamięć złudne obietnice Kaifasza, w ów wieczór, kiedy dobijali zbrodniczego targu. A zresztą czyż Prorok, którego wydał, nie głosił zagłady prawu, a pogardy dla Mojżesza, czyż nie był samozwańczym królem Izraelskim, fałszywym Messyaszem, który z przedsionka świątyni Salomonowej wypędzał lichwiarzy, a bogaczom zamykał wstęp do Królestwa Niebieskiego? Ale on, pokorny Iskariota, pomścił wspaniale Boga, Dawida i Rzym. I oto w dniu, w którym słońce oświeci Mękę Jezusa, prawdziwy lud Boży, Lewici, Doktorowie, Uczeni, faryzeusze, wszyscy zwolennicy Cezara z jego dumnym namiestnikiem na czele pozdrowią w nim sprawcę tego wielkiego dzieła.

— Imię moje— marzył—żyć będzie w pamięci ludzkiej tak długo, jak imię Jakóba, Daniela i Eliasza.“

*

* *

Z daleka już dojrzał oświetlone okna, przesuwające się po tarasach wzdłuż portyku jakieś cienie i czerwonawy odblask płonącego ognia. Ulica była pusta. Słychać było pianie koguta.

— Wkrótce świtać zacznie, — rzekł z cicha Judasz.

Zatrzymał się u wejścia. Na środku dziedzińca płonął duży ogień. Jeden z dwunastu Apostołów—Piotr, siedząc u ogniska, grzał sobie ręce i rozmawiał z młodą służebną. Wydawał się gniewnym i nieszczęśliwym. Rozmawiał bardzo głośno i mówił właśnie do młodej dziewczyny:

— Zaprawdę przysięgam Ci, nie znam tego Człowieka.
Kogut zapiał po raz drugi. Służąca odeszła. Piotr skulił się i popadł w bolesną zadumę: nie posłyszał też kroków zbliżającego się do ognia Judasza. Z pretoryum Kaifasza dochodziły kolejno, to głuchy zgiełk, to wybuch głosu wyniosłego i gniewnego, to szmer słów poważnych a słodkich, na których dźwięk rybak z Galilei drżał i płakał, jak dziecko, u tego ogniska, gdzie się mniemał zupełnie samotnym.

Aż oto kogut zapiał poraz trzeci.

Piotr zadrżał, wydał okrzyk zgrozy, podniósł głowę i powstał. I dwaj Apostołowie, zaprzaniec i zdrajca, spojrzeli sobie oko w oko:

Ale czoło Piotra było tak groźne, a ręka jego z taką siłą sięgnęła do miecza, że Judasz, drżąc z trwogi, cofnął się aż do drzwi arcykapłańskich.

Długo musiał błąkać się dokoła świątyni, gdyż ta otwierała się niewcześniej, jak o wschodzie słońca. Chciał wybrać niezwłocznie miejsce na przyszły swój zakład bankierski. Kapłani dadzą mu bezwątpienia dogodne miejsce i wkrótce złoto i srebro Egiptu, Grecyi, Rzymu i Azyi przepływać zacznie przez jego ręce. A wtedy kpić sobie będzie z tych wszystkich zniewieściałych włóczęgów, rozmiłowanych w ubóstwie i pokucie, z dawnych swych towarzyszy nędzy, uczniów Mistrza, który miał umrzeć. Już kilku Lewitów otwierało kratę pod dozorem kapłana. Judasz poszedł do nich ze swobodą i pewnością człowieka wracającego do siebie i powitał ich uśmiechem i poufałem skinieniem ręki. Ale kapłan zmarszczył brwi i zagrodził mu ramieniem drogę.

— Stój! zawołał—prawo wzbrania wstępu do miejsc świętych wszelkiej istocie nieczystej. Idź precz! Dano Ci tej nocy cenę krwi, trzydzieści srebrników: wziąłeś zapłatę za swój trud. Czy chcesz, abym Cię kazał wygnać ztąd, tak, jak się wygania bałwochwalców lub morderców?..

*
* *

Judasz opuścił świątynię. Tym razem zwrócił swe kroki do trybunału Piłata. Rzymianie będą nań pewnie łaskawsi od kapłanów, bronić go nawet będą z pewnością przed złośliwością synagogi. Co do tych fanatycznych rabinów, litość w nim wzbudzali poprostu. Wiedział, że w głębi serca pokolenie Lewi czciło złotego cielca równie dobrze, jak za czasów Mojżesza. Gdy ujrzą Iskariotę klientem prokonsula, w łaskach u Cezara, a przytem zbierającego ogromne bogactwa, gromadzącego w swych składach złotolite i jedwabne tkaniny, słoniową kość, wyroby złotnicze, wonności Azyi, aby je następnie drogo odprzedać Rzymianom, podziwiać go będą i palić na jego cześć kadzidło odkradane Jehowie.

I podniecony tem marzeniem pychy i chciwości odpowiadał przez całą drogę wyzywającem spojrzeniem na wzgardliwą ciekawość członków synagogi—Uczonych i Faryzeuszów, którzy pokazywali go sobie z daleka palcem, a zblizka usuwali się dumnie, bojąc się jego cienia, jak zmazy. Przyśpieszył kroku, słysząc zgiełk ogromnego tłumu i nagle na zakręcie ulicy znalazł się wobec wstrząsającej sceny.

Do murów pałacu Piłata szturmował tłum rozpasany: wszystkie męty Jerozolimy i Judei, złodzieje, nierządnice, krzywoprzysiężcy, fał-

szerze monet, zbrodniarze przybyli z gór i jaskiń, wszyscy zwracali twarze i wzniesione dłonie w stronę prokonsula.

— Barabasza! Barabasza! wypuść nam Barabasza! — wrzeszczeli.

Pośrodku galeryi o ciężkiej kolumnadzie z porfiru, w otoczeniu licznych oficerów, książąt i kapłanów stał z odkrytą głową Piłat udrapowany w białą togę i rzucał motłochowi słowa, których Judasz nie słyszał. A za każdem otworzeniem się ust rzymskiego pana podwajał się okrzyk ohydnej zgrai:

— Barabasza! Barabasza!

Judasz zmieszał się z tłumem. I wnet pochyliły się ku niemu przyjazne twarze, powitały go powinszowania zbójów i uśmiechy złoczyńców. Gdy się znalazł w pierwszych rzędach, u progu pałacu, uczuł się w wirze szalejącej burzy namiętnego gniewu: z tysiąca piersi wyrwał się okrzyk nowy, okrzyk krwawy:

— Ukrzyżuj Go! ukrzyżuj Go!

Piłat wrócił ze swym orszakiem do pretoryum, zniechęcony i markotny. Pozostał tylko młody setnik, który, stojąc między dwiema kolumnami, przyglądał się tłumowi. Obok niego stary doktór prawa o bardzo szlachetnej postawie rozwijał gorączkowo i czytał z widocznym niepokojem Księgę wielkich Proroków. Wściekłość ludu uśmierzała się stopniowo w niejasnem przeczuciu, że tam, wewnątrz gmachu, spełnia się jakaś rzecz straszna. Wtem kapłan spostrzegł Apostoła w czerwonym płaszczu, szepnął słów kilka setnikowi, a ten zwrócił wzrok na Iskaryotę i z gestem wstrętu odszedł pośpiesznie.

I znowu ciężkie drzwi okute bronzem otwarły się powoli, uroczyście. Pod porfirową kolumnadą ukazał się ponownie Piłat. Na ulicy zapanowała martwa cisza; przez mroczne ciemności zalegające przedsionek krokiem chwiejnym, podtrzymywany przez dwóch żołnierzy, z czołem i twarzą zroszoną krwawemi łzami, w koronie cierniowej na głowie a trzciną w ręku, w szkarłatnym łachmanie związanym na piersi szedł ku ludowi Jezus.

Oniemiały tłum patrzył w zdumieniu na zbliżającą się krwawą postać. Judasz z przerażeniem odwrócił twarz. Piłat wychylił się ku ludowi i ręką, na której błyszczał pierścień, służący do pieczętowania rozkazów Cezara, wskazał Chrystusa i wyrzekł donośnym głosem:

— Oto Człowiek!

W odpowiedzi rozległ się znowu wrzask motłochu—tylko ostrzejszy, tylko jeszcze bardziej nakazujący:

— Ukrzyżuj! Ukrzyżuj!

Kilka kobiet wybuchło głośnem łkaniem, jakiś szaleniec obejmując ramionami posąg Tyberyusza, wyrzekł:

— Biada mu! Biada Jerozolimie! Biada mnie!

— Torując drogę żałobnej procesyi, młody setnik, poprzedzający straż prokonsula, rozpędził włócznią tłum na dwie strony. A kiedy Judasz, bojąc się spotkać ze wzrokiem Jezusa, chciał się skryć po za swoimi sąsiadami, oficer Piłata uderzył go silnie rękojeścią miecza po ramieniu i zawołał:

— Czyś przyszedł tu, aby urągać niedoli żydowskiego Proroka, czy też aby znieważyć swą obecnością majestat Rzymu? Nasi bogowie brzydzą się zdrajcami. Wynoś się ztąd co rychlej i jak najdalej, a może znajdziesz gdzie pustynię dosyć samotną, abyś mógł ukryć swą hańbę!

* * *

Judasz dał się unieść tłumowi, miotającemu się dokoła rzymskiej straży. Ale kilku ludzi, z liczby tych, którzy się domagali Barabasza, domyśliło się widocznie znaczenia słów setnika, bo do uszu Iskaryoty doszły jakieś niepokojące ironiczne szmery. Zwolnił więc roztropnie kroku, a po chwili rzucił się w pustą całkiem uliczkę.

— Czyż ja nakoniec dla wszystkich jestem zapowietrzonym? mruknął z wściekłością.

Zapragnął wrócić do swego domu, aby tam w spokoju zastanowić się nad teraźniejszością i przyszłością. Natknął się wszakże na gromadę kobiet i pacholąt, których oczy przejęły go trwogą. Rozpoznał chłopców, którzy przed kilku dniami zarzucali kwiatami i zielenią tryumfalną drogę z Betanii, śpiewając:

— Hosanna! Synu Dawida, zmiłuj się nad nami! Hosanna!

Judasz zmienił kierunek drogi i rzucił się ku wałom miasta. Pacholęta szły za nim, przeklinając jego imię. Przyśpieszył kroku, lecz wciąż słyszał za sobą ich kroki i złowrogie okrzyki. Przebiegł wkrótce jakiś plac targowy pełen wieśniaków i pasterzy przybyłych tego poranku z wiosek Galilei.

— Judasz! Judasz!—wołały dzieci.

— Judasz!—odpowiadali Galilejczycy. — Śmierć mu! śmierć mu!

I oto posypał się nań grad kamieni, a on uciekał z pochyloną głową, unosząc fałdy swego płaszcza, ścigany przez psy i ludzi, czując, że są coraz bliżej, że zginie śmiercią okropną, a przedewszystkiem, że mu wydrą jego trzydzieści srebrników. Nagle ujrzał przed sobą otwartą na oścież jedną z bram Jerozolimy. Zrozpaczony wpadł pędem pod jej sklepienie. Żołnierze rzymscy, trzymający straż, myśląc, że to buntownicy biegną na Golgotę, aby odebrać katom króla żydowskiego, opuścili włócznie i powstrzymali biegnących.

Judasz uciekał przez pola, oblane olśniewającem światłem. Uciekał poprzez skalistą równinę, przez łożyska potoków i nagie wierzchołki wzgórz. Uciekał na los szczęścia, kierując się raz ku górze, to znów ku Samaryi—ku Betleem lub Sodomie. Jedną miał myśl,—jedno uczucie: był zgubionym. Wiernym był Mojżeszowi i cezarowi a ścigano go, jak wściekłe zwierzę. Gdzie się schroni przed tem prześladowaniem? Jakim będzie jutro los jego?

O południu spoczął wreszcie w cieniu skalistej ściany, i zdziwił się mocno, spostrzegając w pobliżu, mimo tak długiego biegu, groźne mury Jerozolimy. Po chwili na szczycie wzgórza, tuż pod miastem ukazał się oddział rzymskiej kawaleryi; dalej grupa mężczyzn, kobiet i dzieci w żałobie, nakoniec tłum ogromny. Była to scena dziwna i niejasna, przyglądał się też jej zrazu bezświadomie. Aż nagle, poprzez hełmy i włócznie Rzymian, na błękicie nieba, zarysowały się jednocześnie trzy krzyże, a każdy z nich dźwigał człowieka przybitego za ręce i nogi. Wtedy Judasz rozpoznał Kalwaryę. Na najwyższym krzyżu z pochyloną głową, w cierniowej koronie konał Jezus. A kiedy jeźdźcy odjechali wdół ku Jerozolimie, zdrajca ujrzał klęczącą u stóp króla żydowskiego jedną, jedyną niewiastę, a dokoła krzyża leżących z czołem w prochu uczniów i dzieci.

Widok ten osłodził mu wiele goryczy, to też zaczął nabierać odwagi. Pomścił go Piłat. A zresztą czyż Prorocy nie więcej znieśli od niego zniewag ludu, pychy kapłanów i okrucieństw książąt? Wszak niektórzy z nich krwią nawet przypłacili swoją gorliwość dla sprawy Bożej. On bądź co bądź wyjdzie z Judei napojony wprawdzie zniewagami, ale żyw i z dobrze zaopatrzoną kiesą. I odwracając się od niewdzięcznej Synagogi, szedł już drogą do Joppy, kiedy na raz zerwał się straszny wicher i począł zamiatać niebo, wzgórza i doliny. Słońce zbladło, jakby miało zagasnąć, nad Jerozolimą zaległy ciemności, o kilka kroków od Judasza piorun roztrzaskał skałę, a tam w oświetleniu i gloryi krwawych błyskawic trzy krzyże zdawały się rosnąć i poruszać, a trzej ukrzyżowani z wyciągniętemi ramiony, z krwawemi dłońmi i nieruchomym wzrokiem zdawali się iść ku zdrajcy.

Oszalały z przerażenia Judasz rzucił się twarzą na ziemię, zagrzebując się w zwojach swego płaszcza.

*
* *

Wieczór już był, gdy powstał. Grobowa cisza ciążyła nad całą przyrodą. Nie śmiał podnieść wzroku na Kalwaryę. Niepokoiło go to wielkie milczenie wszechrzeczy. Zapragnął spotkać kogoś, usłyszeć

dźwięk ludzkiego głosu, odnaleźć promyk litości na jakiejś twarzy. Bał się nocy,—nocy złowrogiej, która się zbliżała. Zawrócił w stronę Jerozolimy, a upadając ze znużenia, usiadł na skraju jakiejś ścieżki.

Gwiazdy zabłysły w lazurowej toni nieba, księżyc oblał swem smętnem światłem fioletowo-sinawe mroki równiny. Od strony miasta dał się słyszeć odgłos kija trącającego przydrożne kamienie i ukazał się cień ludzki. Jakiś zgarbiony człowiek szedł tak szybko, jak gdyby mu pilno było uciec przed przekleństwem. Ramię, trzymające kosztur, zakreślało na bladem tle pustyni jakiś tragiczny giest rozpaczliwego postanowienia. Podróżny minął Judasza, nie zatrzymując się wcale.

— Ahaswerusie! — zawołał apostoł — Ahaswerusie!

Za całą odpowiedź człowiek przyśpieszył jedynie kroku.

— Ahaswerusie, pozwól, abym ci towarzyszył! Pójdę, gdzie pójdziesz; spocznę, gdzie spoczniesz. Będę ci sługą, niewolnikiem, psem wiernym. Nie opuszczaj mnie samego, w nocy!

— Idę bardzo daleko, do Syryi, do Egiptu—odrzekł Ahaswerus—idę do Rzymu. Nigdzie nie spocznę i nigdy już nie zasnę. Nie miałem współczucia dla Jezusa i odpokutuję brak serca pielgrzymką bez kresu i bez nadziei. Ale krew Tego Sprawiedliwego nie plami mego czoła. I uprzedzam cię, Judaszu, że zdepczę bez miłosierdzia wszelki gad, jaki spotkam na swej drodze.

A gdy cień wiecznego tułacza znikł w ciemnościach, Judasz łowił jeszcze długo uchem coraz słabsze dźwięki kosztura. A potem nieśmiało powlókł się ku Jerozolimie. Poza miastem, w głębi wąwozu, wiedział o ruinach odwiedzanych przez nędzarzy i złoczyńców. Może w jednej z tych nor znajdzie schronienie i przyjaciela, bodaj do wschodu słońca.

*
* *

Poprzez szpary w drzwiach przekradał się promyk światła. Zajrzał i poznał w człowieku opartym pod wiszącą lampą złoczyńcę, przed którym drżała Judeja, zbrodniarza, którego Piłat wypuścił pospólstwu, Barabasza. Zapukał. Drzwi się otwarły.

— Barabaszu, jestem złamanym. Zimno mi, głodnym i boję się. Pozwól mi przespać na kamieniu u twego ogniska.

Stojący na progu swego mieszkania bandyta wzruszył ramionami ze złowrogim uśmiechem.

— Chcesz chyba zniesławić na wieki Barabasza? Jeżeli cię dziś przyjmę jako gościa, jutro zostanę ukamienowanym przez mój lud w Jerozolimie. Nie! bo słuchaj, Judaszu! Ja zabiłem wprawdzie pięciu czy sześciu żydów i dwóch rzymskich rycerzy; kradłem garściami złoto

w świątyni, z poświęconych kufrów Arcykapłana, oddarłem złotą blachę z Arki Przymierza, której nie wolno tknąć pod karą śmierci; ale istoty ludzkiej nie sprzedałem nigdy i nigdym nie wydawał ofiary katom. Udusiłbym cię raczej wprzód, nimbyś przestąpił próg mojego domu. Jeżeli ci się chce spać, Golgotha ztąd niedaleko: możesz tam zasnąć jak najspokojniej, wsparłszy głowę o krzyż twego Pana, i nikt, ani nawet sam szatan nie przerwie ci snu tej nocy.

I Judasz począł się znowu błąkać w cieniu wałów, wśród winnic i gajów oliwnych. Zuchwalstwo Barabasza było dlań ciosem naprawdę już zbyt ciężkim. Dotąd Bóg Jezusa karał go w sposób bądź co bądź szlachetny: świątynia, Rzym, uczniowie, lud, wyklęty żyd podróżujący nocą— to dlań mniejsza, ale ten zbój odpychający go od swoich drzwi... Zniewaga była zbyt okrutną, a narzędzie kary zbyt nikczemne.

I jego nienawiść do Chrystusa wzrastała potwornie. Temu to ukrzyżowanemu zawdzięczał swą całą hańbę. Rad był, że go zdradził; uśmiechał się okropnie na wspomnienie tych jego mąk, których był wylękłym świadkiem. Liczył rany zadane biczowaniem, policzki sług Piłata, ciernie korony i gwoździe krzyża.

Potem przyszła mu gorzka myśl, że jednak ten Ukrzyżowany, będący w tak wielkiej cenie u świata, został wydanym w szpony synagogi za bardzo marną cenę.

Pogroził pięścią niebu usianemu gwiazdami, a ponieważ paliła go gorączka i pragnienie, zwrócił swe kroki ku grupie drzew, które, jak sądził, ocieniać musiały jakieś źródło. Wiatr szemrał z cicha w ich uliścieniu. I już uczuł był ulgę, kiedy naraz wydał chrapliwy okrzyk, okrzyk tonącego rozbitka i powalony niewidzialną ręką, upadł na oba kolana. Poznał drzewa oliwne, pod któremi ubiegłej nocy otoczony przyprowadzonymi przez się siepaczami dał pocałowanie Synowi Bożemu.

Czołgając się, uciekł z Gethsemani, by rozpocząć na nowo swoją samotną wędrówkę. Nie myślał i niczego się nie spodziewał; pragnął już choćby spotkać szatana, upadłego archanioła, aby go módz wzruszyć bezmiarem swej niedoli.

Dwie palmy wyciągały w dali delikatne gałęzie ponad cysterną zabłąkaną w pustyni. Była to studnia Jakóbowa, której błogosławione wody zostały świeżo uświęcone słowem Jezusa. Ale Judasz nie miał już sił bronić się przed temi wielkiemi wspomnieniami. Osunął się całym ciężarem na zrąb, a ponieważ nie było wiadra u studziennego łańcucha, pochylił swą twarz pałającą ponad wodą, aby się orzeźwić jej świeżością.

* *
*

Z pomiędzy palm wysunęła się lekka jak różowy obłok dzieweczka w białej szacie i w białej zasłonie. Odsłoniętą ręką podtrzymywała opartą na prawem ramieniu amforę. Judusz podniósł zsiniałe czoło i rzekł słabym głosem:

— Pragnę!

Młoda dziewczyna cofnęła się ze wstrętem, jakby na widok niebezpiecznego gadu.

— Pragnę!—powtórzył.

— On także,—odpowiedziała dzieweczka—Prorok, któregoś wydał, z wysokości, swego Krzyża wołał: „Pragnę,“ a—Rzymianie podali mu na ostrzu włóczni gąbkę napełnioną żółcią.

Opuściła amforę w głąb studni i wyciągnęła ją przepełnioną czystą jak kryształ wodą, której spadające krople iskrzyły się blaskiem drogich kamieni.

Judasz milczał. Drżąc wobec tego dziecka, nadstawiał już tylko spalone usta zkąd padły krople orzeźwiającej wody.

A ona, pochylając się nagle ku niemu ruchem pełnym smętnego wdzięku:

— Weź, powiedziała, dla miłości Jezusa, weź i pij!

A kiedy się napił, odstawiła amforę na ramię i śnieżnie biała, pieszczona promieniami gwiazd - odeszła krokiem równym.

W mroczną duszę Judasza wtargnęła świetlana fala. Jednym szybkim rzutem oka zmierzył całą nikczemność swoją i całą głębokość swego upadku. Był to dla jego sumienia śmiertelny moment. Słodycz młodej dziewczyny odsłoniła mu tajemnicę, w którą nigdy nie wierzył, i dojmujące poczucie świętokradztwa ścisnęło jego serce.

— Któż jest Ten Ukrzyżowany, który ręką dziecka zlał na moją głowę balsam miłosierdzia?

Długo tak siedział u Jakóbowej studni. A myśl powyższa wracała bezustannie, ale on zamiast pociechy znajdował w niej tylko niewysłowione cierpienie. Naprzeciw niego na wzgórzu sterczało drzewo uschłej figi i w jego umyśle zbudziła się niejasno przypowieść Pana. Pobiegł nagle do drzewa, rozesłał na ziemi swój płaszcz czerwony, rzucił nań trzydzieści srebrników i odwiązawszy szybko opaskę od zawoju, powiesił się na najgrubszej gałęzi bezpłodnej figi. Pod stopami apostoła, nakształt wielkiej plamy krwawej, czerwienił się płaszcz, na którym szakal spał do rana. A o pierwszym brzasku dnia, wysoko ponad żałobnem drzewem, krążył długo wielki sęp o płowych skrzydłach.

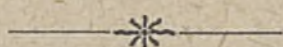
Z Emila Gebhart'a
tłom. H. Cz.



O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa

przełożył wierszem

ks. Alfons Trepkowski



Słowo wstępne.

Całe życie i cała nauka Chrystusa Pana za cel swój miały:—uczynić z nas Synów Bożych. Bóg - Człowiek postawił Siebie za wzór: — „Dałem wam przykład, abyście, jakom ja wam czynił, tak i wy czynili.” (Jan XIII—15). Każdy więc z nas, chcąc posiąść ów cel ostateczny, winien odtwarzać w swej duszy Mistrza z Nazaret winien naśladować Jezusa Chrystusa.

Pobożność katolicka we wszelkich swoich przejawach dąży, aby na klęczkach czci i uwielbienia, wpatrywać się w Jego Boskie Oblicze, w Jego Boskie serce i czynić tak, jak On czynił. A wśród gwaru światowych zajęć, gdy, choć na chwilę, nieudolny nasz wzrok, znużony wrażeniami ziemskiego żywota, spocznie na Osobie Jezusowej— w języku katolickim będzie to codzienna medytacya.

Nie ziemska jest siła, która rozbudza wiarę i potężną falą z najbardziej oddalonych krańców rodzinnej ziemi tysiące serc skupia u stóp Jasnej-Góry.

Orzeźwić momentalnie ducha na widok Cudownego Obrazu Matki Bożej czyli przez Maryę być nawróconym do Jezusa — jeszcze nie wszystko.

Aliści utrzymać nadal duszę w tym świętym nastroju, rozpalić żądzę miłości trwałej ku Chrystusowi i wycisnąć Wizerunek Boskiego Mistrza w każdym swym czynie — oto dopiero pełne dzieło odrodzenia.

By je w przeprowadzeniu ułatwić, drukujemy rzecz wprawdzie, co do treści, nie nową, jeno w odmiennej formie: „Cztery Księgi o Naśladowaniu Jezusa Chrystusa,” przełożone wierszem.

Praca wydana została w oryginale, po raz pierwszy, 1486 roku w Augsburgu, po łacinie. Początkowo znaną była pod tytułem: „O wzgardzie Świata.” Do obecnej chwili nie tylko doczekała się tłómaczeń we wszystkich językach europejskich, lecz również w gwarze ludów z najodleglejszych zakątków ziemi, dokąd jeno dotarła stopa katolickiego misyonarza.

Autorstwo jej przypisywano kilku współczesnym wybitnej sławy teologom między innymi: Janowi Gessenowi i Janowi Charlier, od miejscowości urodzenia zwanemu Gerson i Tomaszowi Hammerken, powszechnie czczonemu Świętemu Tomaszowi Kempis.

Na początku XVII stulecia powstał formalny spór, w którym wzięli udział nietylko liczni uczeni, zakony, akademia francuska, parlament, lecz nawet i kongregacya Indeksu.

Opinia jednak zawsze przemawiała za Tomaszem à Kempis—duszy nawskroś ascetycznej, odznaczającej się wysoką pobożnością i głęboką pokorą.

W naszym języku dziełko o „Naśladowaniu“ przełożył 1818 r. Tadeusz Matuszewicz; znacznie później ks. Aleksander Jełowicki, jeden z pierwszych Braci Zmartwychwstańców, zakonu założonego w Rzymie, wreszcie ostatnio wydał ks. Adolf Jełowicki.

Całość zawiera cztery księgi. Każda z nich podzielona na rozdziały, w których wybitniejsze punkty odznaczone są porządkowymi numerami.

Praktyka pobożności zaleca choć jeden taki punkt w ciągu dnia uważnie odczytać, a będzie odżywczym pokarmem wprawy nad urobieniem duszy naszej.

Litery w nawiasach, na marginesie, oznaczają nazwy Ksiąg Pisma Świętego, cyfry rzymskie—rozdziały, a cyfry arabskie—wiersze.

Księga pierwsza.

O poznaniu prawdy.

1. Szczęśliwy, komu umysł opromienia
Prawda bez mgławic, bez słów pustobrzmiących,
Jeno w przezroczach własnego jej rdzenia,
W szatach przejrzystych, nie zaś fałszem lśniących.

Sądy i zmysły często nas zawodzą:
Widnokrąg — ciasny, zdania — chwiejną łodzią. —
Na cóż przydatne subtelne docieki
W tajnikach wielu niezbadanych rzeczy?
Skoro, gdy wyrok zapadnie na wieki,
Brak dla nich ślęczeń zasług nie zniweczy?
Pustotą będzie bezbrzeżną, naganną
Przepaścić światło gwoli żądz pomroku;
Wytężać wzrok swój, lecz gwiazdę zaranną
Ślepić przez grzechy zdrożnem bielmem w oku.
2. Po co nicować gatunki, rodzaje?
Komu przedwieczne Słowo szczepi serce
I prawda Boża dostępną się staje;
Korzystniej—resztę tarzać w poniewierce.—
Wszystko swe Słowu zawdzięcza istnienie;
Wszystko potędze Słowa chwalby głosi.
(Jan VIII—25.) Słowo—początek, wszechwiedzy roztlenie,
Co wątły umysł mądrością nam zrosi.
Bez Niego rozum porwie prąd zwodniczy
I nikt na zdrowy sąd niechaj nie liczy. —
Zatem kto w Słowie wszystkoześrodkował,
Do słowa drgnienie myśli swej kieruje;
W pryzmacie słowa kto wzrok obwarował,
Ten niechaj z serca niepokój ruguje
I niechaj w Panu zażywa wesela
Nie chwile krótkie, lecz jak czasu wiela. —
O, Wieczna prawdo! O, Boże! mój Panie!
Porwij mię w uścisk bezdennej miłości;
Bez Ciebie mierznę i siły nie stanie
Wśród gwaru świata-żyć dla jego czczości!
Tyś ową treścią, co śnię, pragnę, marzę,
I niepodzielną wolę niosę w darze!
Areopagu uczonych tej ziemi!
Zamilknij społem, ucisz się stworzenie!
Wobec słów Tego, co gromowładnemi
Porusza siły. On—Bóg! Objawienie!
W kornem skupieniu pod wieczór od rana
Słuchać chcę tylko mówiącego Pana. —
3. Kto bardziej zgłębia duszy swej skrytości,
W prostocie serca jest by gołębica,
Ten orlim wzrokiem spoziera w ciemności,
Bo Bóg mu światła, rozumu użycza.

Człek taki cichy, łagodny i czysty
W dziennych zajęciach ducha nie rozprasza;
Wszystkie zamienia czyny w hołd wieczysty,
Na chwałę Panu — nie ludzką — w tem krasa. —
Powiedz! co bardziej wewnątrz wstrząsa, burzy,
Jeśli nie własnej miłości grom duży?
Istna pobożność na szalach rozważy
Powstały zamiar wpierw nim go wykona;
Wtedy występek i myśli nie skazi,
W głosie sumienia pewna tam obrona.
Osądź! z walk świata, które grozę piętrzą,
Zwyciężać siebie — walką to najcięższą! —
Więc obowiązek, gdy krzesi ochota,
Kruszmy jaźń grzeszną; niech mężnieje cnota!
4. Co mowa w życiu zowie doskonałem,
Przymieszka wady sąd błędny wykaże;
Co mniemam, że dziś w przezroczu zbadałem,
Jutro zamglonem podniesie mi w darze.
Świadomość własnej nicości snadź prostsza,
Skoro do Boga służy drogowskazem;
Przewyższa wszelkie badania i ostrza
Rozumu twego czyni nędznym płazem.
Nie trzeba wiedzy ganić: wstecz odrzucać
Pojęć w ustroju zgodnych z prawem Stwórcy;
W życie cnotliwe winniśmy się wjuczać;
Szpetne popędy sumienie niech zburczy.
Ponieważ jednak żądzą nauk parci
W większości prawie zaniedbujem cnoty,
Stąd w błędach często jesteśmy zażarci,
Mały lub żaden owoc ślą zachody. —
5. O! gdyby tyle łożono starania,
By wykorzeniać grzechy z głębi serca,
By w duszy cnotę szczepić od zarania;
Co w czczych rozmowach człek czasu uśmierca,
Zła i zgorszenia wśród ludzi na świecie
W grodach i siołach mniej byłoby przecie!
Pewnem jest bowiem, iż w Wielki dzień Sądu
Pytać nie będą coś czytał, lecz czynił?
Czyś w życiu grzechów unikał, jak trądu?
Nie krasomówstwa brakiem czyś zawinił?
Wskaż! gdzie są owi mistrze i uczeni,
Coś znał, gdy żyli — w sławie obnoszeni?

Inni poczestne miejsce ich zajęli,
Nie wiem, czy w myśli przemkną choć na chwilę...
Za życia swego laury, nimby mieli
Wszystko ukryte w milczenia mogile.
6. O, jakże szybko przemija na ziemi
Urok wawrzynów, chwały, wywyższenia!
Bodajby czyny z wiedzą spojonemi
Zwarte ogniwy na szalę zbawienia
Składały wszystkie badania, odkrycia!
Bo iluż goni za czczemi nauki
Miasto modlitwy—bluźniercze ich wycia.
(Rzym I—21.) I skoro wszelkiej używają sztuki,
By się wywyższyć, gdy depczą pokorę,
Więc są ślepcami, więc serca ich chore!
Iście ten wielki, kto pała miłością,
Iście ten wielki, kto zwie się nicością;
Kto w nicość sławę światową zamienia,
Iście ten mędrzec, kto ziemskie swe mienia
(Filip III—8.) Plugawstwem zowie, by posiąść Chrystusa,
Tłumi swą wolę—Boska nim porusza.

(Dalszy ciąg nastąpi)



W obronie chrześcijaństwa.

Według powieści JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO „Pamiętnik Mroczka.“

Opracował ks. J. A.



Dwieście lat minęło od tych czasów, gdy Turcy zagrozili całemu światu chrześcijańskiemu, kiedy sułtan turecki wysłał ogromną armię, aby podbiła wszystkie chrześcijańskie ziemie. Turcy, którzy już dawniej zabrali piękny gród chrześcijański—Konstantynopol, w nim stolicę swoją założyli, którzy wiele krajów i państw chrześcijańskich zawojowali, którzy Ziemię Świętą w swych rękach dzierżyli, postanowili zawojować Europę. W tym celu, zebrawszy ogromne wojsko, uderzyli na południowych Słowian, ogniem i mieczem zniszczyli ich ziemie i z kolei oblegli Wiedeń — stolicę wielkiego państwa chrześcijańskiego — Austryi. Cesarz Leopold na samą wieść o niesłychanej potędze muzułmańskiej uszedł ze stolicy i ukrył się w bezpiecznem miejscu. Cały świat chrześcijański zadrżał. Wtedy oczy wszystkich zwróciły się ku Janowi III Sobieskiemu, który niejednokrotnie gromił Turków. Papież i cesarz Leopold przysłali do króla Jana posłów. Poseł papieski mówił: „Królu, ratuj chrześcijaństwo!“ a cesarski błagał: „Ratuj Wiedeń!“

Jakoż król udał się z mężnem wojskiem na obronę chrześcijaństwa pod Wiedeń. Wyprawę tę przesławną tak opisuje Józef Ignacy Kraszewski w powieści „Pamiętnik Mroczka.“

Nigdy, jako żywo, nie byłbym pomyślał o opisaniu wypadków, które mi w dosyć długiem życiu Pan Bóg przebyć pozwolił, ratując mnie łaską Swą, gdyby nie naleganie usilne dzieci i przyjaciół, abym dla nich i potomstwa ich pamięć tych przygód zostawił, których oni ani

tak objąć, ani tak jako świadek naoczny opowiedzieć nie potrafiliby, chociaż je nie raz jeden z ust moich słyszeli. Więc nie żebym mizerną swą osobą chciał zajmować ludzi, bo takich jakim ja był i w podobnych przygodach, naliczyłby tysiące, ale że mi Pan Bóg dał w wielkiej imprezie i sławnej onej wiktoryi nad Turkami pod cesarską stolicą otrzymanej uczestniczyć, a rzecz ta pamięci jest wiekuistej godna, przeto się nakłonić dałem, aby coś o tem, jakom na to oczyma własnemi patrzał, zostawił. A że się nie obejdzie, bym przy tej okazyi czegoś i o sobie powiedzieć nie miał, niech mi to będzie przebaczono.

Rodzina moja z Mazurów pochodzi, gdzie od wieków dawnych Boleszczyce siedzieli i gdzie im Ziemowit, książę mazowiecki, przywileje wielkie nadał, jako możesz czytać u genealogów naszych.

Już codzień gęściej mówiono o wyprawie pod Wiedeń, ku któremu wojska tureckie pod wodzą wezyra wielkiego Kara Mustafy dążyły, aby go obledz i zdobyć. Dochodziły wieści z Warszawy o wielkich przygotowaniach, a Lubomirski przodem miał ciągnąć na posiłek, nimby sam król wyruszył z resztą wojska.

Zaraześmy tedy z królem i dworem poczęli ciągnąć ku Krakowu, wstąpiliśmy pierwszego dnia do Falent pana wojewody pomorskiego, gdzie król odpoczywał; trzeciego dnia do Nadarzyna, a tu obiad jadł, i przybiegli posłańce, donoszący, że cesarskie wojska, z powodu blizkości wielkiego wezyra, cofają się na wyspę Szyt. Dalej ciągnęliśmy na Radziejowice, rezydencyę bardzo piękną kardynała, do opactwa witowskiego pod Piotrkowem Trybunalskim, aż do Kruszyny.

To też było się czemu dziwić: bo pałac hr. Denhoffa, ogród, wody w nim, jak rzadko gdzie u nas widzieć; drzewa, wały sypane dokoła, nawet ogrodzenie pańskie i dla oka obrachowane.

Ztąd już zajechaliśmy do Częstochowy, gdzie król jegomość w klasztorze u Ojców Paulinów stanął i mieszkał, dla zażycia nabożeństwa u Cudownego Obrazu Matki Miłosierdzia, a myśmy się po miasteczku, jak kto mógł, rozgościli. Nie piszę już jakie były ceremonie i jaka pobożność przed tak wielką imprezą, jakie wota składano i jak król jegomość z całym dworem do Kommunii i Spowiedzi przystępował, sposobiąc się, aby czystem sercem w czystej sprawie stawać.

Tu nadbiegł Gliński od hetmana Lubomirskiego z listy od Wiednia, że się już oblężenie stolicy rakuskiej na dobre rozpoczęło i osadzili ją poganie dokoła. Król Glińskiego do siebie zawoławszy, sam go rozpytywał i badał, a potem listy rozpisywał na wszystkie strony do książąt i panów, oznajmując, że ciągnie na odsiecz niezwłocznie, aby też drudzy obowiązku swojego chrześcijańskiego dopełniać się starali.

Żem nieźle pisał, byłem i ja pod ten czas do niektórych skryptów w kancelaryi użyty, przed czem mi słowo szlacheckie dać kazano, że

nic nie wyjawię z tego, co mi do uszu dojdzie. Ale to tam próżna była ceremonia, bo się to u nas nigdy nie praktykowało, żeby się jaki sekret uchował, dla tej otwartości charakteru naszego, która i siedmiu pieczęciami zamknięte usta otwiera.

Przyjąwszy błogosławieństwo przed Obrazem Najświętszej Panny i solenne złożywszy wota, pośpieszniej już, dla odebranych wiadomości, ciągnął dwór prosto na Kraków, a wojska dwiema drogami nas poprzedzały ku tarnowskim górom na Szlązku, w dwunastu milach od Krakowa.

Nie mogę wypowiedzieć, jaka nas tu w stolicy spotkała ludu, szlachty, duchowieństwa frekwencya, jaka widzenia króla jegomości chrześcijańskiego ciekawość, jaka miłość powszechna, wydająca się wszędzie, jakie procesye, nabożeństwa, bicie w dzwony, oracye, dary i jaki wszędzie nacisk zdążających za wojskami. Żem się już dworu trzymał, stałem w Łobzowie z innymi, zkąd tylko do miasta za królem wyjeżdżaliśmy, głównie dla modlitwy po różnych kościołach. Byłem też, gdy król jegomość odwiedzał staruszka księdza Dąbrowskiego, w collegium, niegdyś nauczyciela swego, od którego brał błogosławieństwo. Rozpowiadano, czegom ja świadkiem nie był, że król się świętobliwego starca dopytywał, jak też owa wielka wyprawa poszczęścić mu się miała i że ojciec Dąbrowski miał mu odpowiedzieć, przyobiecując zwycięstwo, lecz zarazem śmierć sobie prędką prorokując, że tej pociechy dożyć nie miał, co się później jota w jotę sprawdziło.

Król też d. 6 sierpnia jechał ztąd na musztrę ciągnącej armii hetmana polnego, opatrując lud dobrze i pięknie wybrany, którego było więcej dwóch tysięcy. Sam główny korpus wojsk pod hetmanem wielkim przyszedł w kilka dni później i położył się obozem pół milki od Łobzowa. Jam tedy, otrzymawszy pozwolenie, do swoich pośpieszył, aby i poczet zobaczyć, co się tam z nim działo, i przyjaciół powitać.

Dopieroż to była radość, gdy mnie ujrzeli, dopiero krzyki, wołania, witania! bo byli zasłyszeli o moich sukcesach, a zazdrościli mi wszyscy potrosze, czemu się nie dziwuję, zbliżenia do osoby króla jegomości. Alem i kwasu miał trochę, bo mi sługa mój konia jednego spleczył, drugiego schodził i zatarł szkaradnie, żem go z błotem zmieszać musiał. Szkoda też przez jego niedbalstwo okazała się i w wozach, jak to zawsze bywa, gdzie cudze oko patrzy, a pańskie daleko. Alem to wszystko przy pomocy Bożej, połatawszy, a z przyjacioły zażywszy chwil wesołych, o frasunku zapomniał. Drudzy go też w tej drodze, jeźli nie więcej, mieli.

Dnia 5 sierpnia 1683 r. przybyli do króla posłowie, panowie znaczniejsi szlązcy, z tem, że wszystko było w pogotowiu w ich kraju dla wojsk naszych i wozy pod piechotę spędzone. Dziewiątego poszły

ordynanse, aby wojsko ruszyło i poczęło zewsząd ciągnąć ku Szlązkowi. Regiment kanclerza wielkiego szedł z Żywca i inne za nim.

Dziesiątego wielkie nabożeństwo i błogosławieństwo na zamku w kościele odbywało się, któremu i ja z całym dworem byłem przytomny.

Po Mszy Świętej uroczystej, u grobu Świętego Męczennika, nuncyusz papieski Pallavicini króla jegomości i wszystkich przytomnych błogosławił i ogłaszał wielkie przez Ojca Świętego nadesłane odpusty nadzwyczajne dla rycerzy chrześcijańskich, z których radości wielkiej i męztwa nam przybyło.

Opisywać już nie będę, jakeśmy ostatnie dni do 15 sierpia, to jest do Wniebowzięcia przebyli, ciągle prawie będąc pobożni; jak nas tu żegnano, błogosławiono, otaczano; to tylko powiem, iż mimo wieści, które przychodziły o potędze tureckiej, mimo słusznej obawy, jaki mógł być skutek wyprawy, od wodza do ostatniego żołnierza wszyscyśmy naówczas mieli to przekonanie pewne, iż zwyciężyć musimy. Zkąd się brało owe bezpieczeństwo, nikt nie tłómaczył, ale to pewna, że we wszystkich sercach mieszkało. One krocie pogan, o których mówiono, że niemi całe pola były okryte — nic się nam nie zdawały groźne.

W Będzinie, ruszywszy z Krakowa w dzień Wniebowzięcia, zastaliśmy oczekującego grafa Caraffę, od cesarza Leopolda wysłanego, który z bardzo kwaśną miną przybył, nie wierząc pewno, aby miał król w czas z odsieczą podążyć. Rozpowiadano tu, iż zastawszy markiza Darkena, który króla wyprzedził, obiadując z nim, gdy mu ten ręczył, iż Najjaśniejszy Pan przybywa, odparł nieufnie, podając to w wątpliwość:

— Tak to mówią.

Aliści rozjaśniała się Włochowi twarz, gdyśmy nadążyli, a miał to szczęście, że z królem obiadował, szeroko rozpowiadając o nieszczęśliwem położeniu stolicy i radząc, jakby najlepiej Turków od niej odegnać. Nie byłem ja tam w czasie ich rozmów, ale potem sobie je powtarzano, iż zaklinał i modlił, aby król jegomość pośpieszał, jeśli na sromotne gruzy patrzeć nie chce. Cesarz też, uchodząc z Wiednia, a nie mogąc z sobą zabrać skarbów niezmiernych, jakie tam były nagromadzone, frasował się więcej obawą ich straty, niż upadkiem stolicy.

Tu już, gdy i królowa jejmość rozstała się z nami, w tarnowskich górach, pośpieszaliśmy, a był wielki czas.

Trudno wyrazić, jak nas wszędzie przyjmowano, jaką znaleźliśmy gotowość, jakie żywności wszelkiej zapasy, jaką uprzejmość Szlązaków i zabiegi, aby nam na niczem nie zbywało. Wozy pod piechotę, owsy, chleby, słowem dostatek wszelki.

Dnia 22 sierpnia król, odprawiwszy przodem piechoty, pono dla tego, że się tam nie było z czem popisywać, bo nieświetno wyglądała, jechał razem z komisarzami cesarskimi na wojska ukazanie, które było prawdziwie wspaniałe. Puszczono wprzódy ten głos, aby każdy wystąpił, jak tylko mógł najlepiej, żeby przed obcymi się nie wstydzić, i wypadło też, żeśmy się i sami sobie i oni nam dziwowali, z takiem bogactwem i świetnością szły chorągwie.

W ogóle zważyliśmy, że na panach cudzoziemcach wojsko, jak się potem odzywali, zrobiło wrażenie wielkie, tym przepychem, z jakim się prezentowało.

A tuśmy się teraz od Gliwic ze dworem całym oddzielili od armii naszej, zostawując ją za sobą; wziął tylko król dwadzieścia kilka chorągwi lekkich, kilkaset dragonii z sobą, a dwudziestu hussarzów, którzy bez kopij na straży przy nim jechali. Jakeśmy w Szlązk weszli tylko, nieustannie nas spotykano ze wszelkiego rodzaju honorami, darami, mowami, biciem we dzwony, oracyami i tryumfy.

Radość z naszego przybycia wszędy widać było wielką, a dostatek mieliśmy wszystkiego i na kuchnię, i dla koni, że nie można było niczego zażądać, czegoby już wprzód nie nagotowano.

Jam, będąc u dworu królewskiego, opływał, — i tylko mnie to trapiło, że tego jak dla żołnierza było zanadto, żeby człowiek nie zmiękł. Prawda, że po noclegach, najadłszy się do syta, napiwszy często nad miarę nieco, przy wesołem towarzystwie, potem musiał człek legnąć, kulbakę tylko mając pod głowę i namiot, który Pan Bóg rozpiął, ale to się już i nie liczyło.

Szliśmy już coraz pośpieszniej, zdążając na Opawę, miasto wcale piękne i obronne, gdzieśmy jako tako spoczęli. Król w stodole na przedmieściu dobrowolnie się lokował. Minąwszy Raciborz, gdzie nas pańsko podejmowano, ciągnęliśmy pod morawskie góry do Ołomuńca, a góry dosyć przykro przebywać przyszło. Ale mimo tych dróg, niezwyczajnemu człowiekowi i koniowi przyciężkich, nacieszyć się nie mogliśmy pięknością kraju dla oka, który jakby w obrazie malowany wygląda.

W Opawie, jak to po drodze wszędzie, naprzykrzono się królowi temi powitaniami, i słyszałem jak mówił, narzekając na te oracye ustawiczne, dla których się, jako pan młody do ślubu ubierać musiał i wszędzie z paradą husarską wjeżdżać. Miasto chędogie, lud grzeczny, a co błogosławieństw było i okrzyków, wyliczyć trudno. OO. Jezuici szczególniej panegirykami kościelnemi przyjmowali.

Nigdym też jeszcze tak osobliwego zegaru nie widział, jako tutuj: bo gdy miał godzinę wybić, występowała z niego cała procesya

misternych laleczek, kłaniając się, ruszając, głowy chyląc, gdyby żywe Pigmejczyki, czemum się mógł napatrzeć, bo królowi dali kwaterę w kamienicy naprzeciw zegara, bodaj nie naumyślnie, aby mu się dziwował.

W tym pochodzie, ile nam razy serca przybywało i ubywało, nie zapamiętam; to jeno wiem, że ciągle gońce, posły, a listy dobiegały do króla, zwiastując różne wojsk pogańskich i Tekelego, z niemi za jedno trzymającego, ruchy. Ginęli, to wychodzili z ziemi Tatarowie a Turcy, i groźno, to się tchórzliwie okazywali wszelako im bliżej ku Wiedniowi podchodziliśmy, tem się bardziej na baczności mieć było potrzeba, aby nas nie zaskoczono kędy w zasadzce.

Ale kraj czyście piękny jako raj, a że ciągnąć przyszło w porę jesienną, kiedy wszystko dojrzewa i rośnie na umór, więc nic wdzięczniejszego wymyślić niepodobna nad to, na cośmy patrzali.

A znać, że i lud około Bożych darów chodzić umie, bo dostatnio wszędzie i chędogo; muru więcej niż drzewa, chociaż z drzewa i muru bardzo misternie budować umieją razem, czego u nas rzadko widzieć, i koło każdego domostwa owoców, winnej macicy, brzoskwiń, pachnącego ziela różnego w bród.

Na polach zboża w kopach stało jak usłał; urodzaj nadzwyczajny, kop jak gwiazd. W Brnie Morawskim stanęliśmy w święto i na odpust Świętego Jana Chrzciciela, gdzieśmy nabożeństwa zażyli, o ile fatyga i czas dopuścił.

Sam książę lotaryński królowi hołdy miał czynić, i spodziewano go się co chwila u nas, aby króla i wojsko znaglić do pośpiechu, bo już Turcy strasznie szturmowali, a dowódca stolicy rakuskiej Staremberg prawie desperował. Podkopywali się pod niego i minami szli, grożąc murom. Zewsząd też, kto tylko mógł z rzeszy, ciągnął pod Wiedeń.

Dnia 31 sierpnia, gdyśmy byli obozem, a właśnie namioty rozbijać dopiero poczynano, w momencie kiedy się z nami łączył hetman polny, który był inną drogą pod górami ciągnął, dano znać, że książę lotaryński przybywa.

Spotkali się król z książęciem w polu, właśnie przed szeregami, jakby do boju wyciągnionemi. Prezentował się tego dnia monarcha nasz tak wspaniale i z takim majestatem, jakby się na tro‘ nie urodził. Zsiadł książę z konia o dwadzieścia kilka kroków, król też mało poczekawszy także, i powitali się bardzo uprzejmie, razem potem idąc do obozu, który dopiero się rozścielał. Z wielkiego rozgłosu około imienia tego księcia, nie mogłem się spodziewać, żeby tak mizernie wyglądał. Człeczek był niewielki, potrosze brzuchaty-twarz melancholiczna, ospowaty szpetnie, a koło niego tak, żebyś go

wziął chyba za pisarka obozowego, gdybyś go spotkał na uboczu. Suknia prosta, odarta, kapelusz zmięty i bez pióropuszu, buty zabłocone. Był przy nim Talf, który w Polsce posłował odeń, i tu go niemało ludzi znało.

I koniowi i panu napatrzyć się nasza dwornia nie mogła, bo choć szkapę miał niezgorszą pod sobą, ale siodlisko wybite, wysiedziane, uzda prosta i prezencyi żadnej. Wszelako król go przyjął bardzo mile, a choć dopiero się nasi zabierali coś prażyć, w mgnieniu oka i ogień był naniecony, i jedzenie gotowe, i wino dobyte. Nie mieliśmy się co wstydzić popasu, bo sobie dobrze panowie podjedli, a bodaj i podpili. Stałem-ci tam, patrząc na wszystko, i widziałem, że s. lotaryńskiego hamował od kieliszka księcia ten Talf, a przecie gdy król dolewać kazał, dobrze sobie podchmielił w końcu, i była taka wesołość z racyi naszego zbliżenia się, taka otucha, tak się im na widok wojsk oczy śmiały i serca przybywało, aż i nam go urosło. Tylko słychać było z pod namiotu wiwaty i wykrzykiwania na cześć króla naszego, dla którego imion dosyć znaleźć nie mogli, Salwatorem go mieniąc i Mesyaszem, przysłanym od Boga na zbawienie chrześciaństwa.

Rozjechali się nareszcie, w bardzo wielkich oświadczeniach przyjaźni dla króla i królewicza, bo pierwszego ojcem swym, a drugiego bratem co chwila (po winie) książę lotaryński nazywał, i to po polsku; ale mu i tego ojca i brata co chwila podpowiadać musiano.

Kto dawniej znał przed laty kilku naszego pana, że był nieco zwolniał a ociężał, teraz go poznać nie mógł, tak wymłodniał, ochoty, rzeźwości i humoru nabrał; i nie dziwić się obcym, że im majestat jego oczy ślepił, gdy nawet my, do blasku tego przywykli, coraześmy, jakby nowego człowieka w nim dopatrywali. Rosnął nam codzień. Ten szybki pochód, i trud, i niepokoje nietylko go nie zmęczyły, ale zdawały się go orzeźwiać i coraz nowe mu myśli poddawać. O każdej najmniejszej rzeczy pamiętał, nie dojadł, nie dospał, ludzi nie zamęczał, a sam jeno się kwapił.

Gdybym na to nie patrzał, nigdybym temu nie uwierzył, ażeby człowieka duch wielki mógł tak z gruntu przeistoczyć i takiej siły mu dodać. Samo wejrzenie na twarz królewską już zwiastowało, jakby rozbudzenie wielkie, jakby natchnienie Boże osobliwe.

Wszyscy to swoi i obcy powiadali zgodnemi głosy, że go nigdy jeszcze takim nie widzieli; od rana do nocy zajęty, czynny i zapominający o sobie, zawsze gotów bez uprzykrzenia, wesół, a dziwnie majestatycznego oblicza, jakby w nim Duch Święty mieszkał, przezeń mówił i kierował nim. Coś wielkiego i potężnego wydawało się w każdem jego słowie i ruchu, a co dziwniejsza, że jakem się nie-

raz o tem przekonał, miewał przeczucia, proroczo widział, co się stać miało.

Z samych kart i opowiadania, dobrze wprzódy nim pod Wiedeń przybył, nim opatrzył pozycyę, mówił już z góry gdzie obozem stanie i skąd nieprzyjaciela atakować będzie, ciągle o Kalembergu powtarzając, aż się ludzie dziwowali. Chodził, mówił, rozkazywał, jakby w świętej jakiejś gorączce, nie zastanawiając się i nie potrzebując ani namyślać się, ani poprawiać.

My, cośmy osoby królewskiej bliżej byli, tylkośmy podziwiali go, a w końcu uwierzyć musieli, że tam Boża prawica nad nim spoczęła. Jako był wyszedł z kościoła po onem błogosławieństwie w Krakowie, a potem z celi ks. Dąbrowskiego, tak już na chwilę teraz nie zwątpił, nie zawahał się. Nie można wypowiedzieć, jak ta jego pewność wszystkim serca ogromnego dodawała, i z ludzi nawet poślednich czyniła rycerzy.

Niemało się też i ten pochód, przed tryumfem już tryumfalny, przez Szlązk i Morawy, przyczyniał do utrzymania króla na duchu, bo go zbawcą chrześcijaństwa całe ludy proroczo witały, jakby objawienie tego posłannictwa Bożego wszystek świat przedtem miał.

Przychodziły mu też to te, to owe myśli pośród ciągnienia, jak ze snu przebudzonemu i jakby z rozkazu, z góry. Jednego poranku wstaje w namiocie, gdziem i ja blizko był. Słyszę wołanie się rozlega:

— Sam tu!.. a jest tam który?

Więc na łeb lecę; król się odziewa.

— Słuchaj Mroczek, rzecze: tyś człek rzetelny, ty grosza chrześcijańskiego nie zmarnujesz, ani z niego nie zechcesz korzystać, tobie to polecę. Widziałeś ty? toć to w wojsku kopij i dzid połowa ludzi nie ma, a zapaśnych cale. Bez tego w boju z nimi nie stąpić. Naści pieniądze, wyrachujesz mi się. Idź przodem, czy bokiem, czy jak ci się tam zda, a przysposóbcie mi kopij i dzid, żeby był zapas dla wojska. Niechaj to odemnie pana swego mają, bo sami tu między obcymi nie postarają się o to. Tyś człek młody i obrotny, na ciebie to zdaję, a sprawże mi się, jak się patrzy po kawalersku. Ilu Turków te dzidy zgniotą i zmiotą, tyle waść kresek dobrych u Pana Boga, a i u mnie sługi Jego mieć będziesz.

Włożył tedy to na mnie, i latałem jak oparzony około roboty, Bóg widzi, że niełatwiej; a potem, co mnie gdzie zobaczył, to mi się spowiadać kazał, ile już gotowego i co i jak Ale mi te kopie u króla niemały fawor wyjednały, bo mi poszło, z pomocą swoich, cale dobrze i na chwałę.

Jak się w wojsku dowiedzieli tylko, że król własnym kosztem drzewce sztyftuje i rozdawać ma tym, co ich nie mają, filuty z hussarzów a nawet i pancernych do mnie:—Kupuj u nas dzidy, wszak ci to wszystko jedno. Alem zmiarkował o co to szło, i że byłoby z obrazą sumienia to kupować, co już było, a nie przyspasabiać więcej, jak król chciał. Więcem odrzucił, choć się na mnie za to gniewali; królowim przecię słowa o tem nie szepnął.

Nie wiem skąd, i kto mu powiedział o tem. Trzeciego dnia woła mnie do siebie i daje trzosik z talarami.

— Weźmiej to odemnie, rzecze. Kocham waść: to za one kopie, coś ich u tych trutniów kupować nie chciał. Masz sumienie. A dużo ich tam już na wozach?

Wszystko mi to coraz więcej u króla łaski jednało.

Jużeśmy byli pod Tulm przyszli, gdzie most na przeprawę budowano, aż nas dopędził posłaniec królowej z listy z kraju; a była ich do całego wojska taka moc i zależałych, i starych, i nowych, że się każdy prawie miał czem pokrzepić; torbami je noszono i rozdawano po chorągwiach.

Jam też odebrał pisanie od brata, Jacka: nic tak bardzo szczególnego, tylko mnie tknęło, że w obwitych wyrazach wspomniał, abym tam ladajakim wieściom nie dawał wiary, że wszystko u nas po staremu, a nie gorzej.

Po obozie z temi listami było wszędzie czego się nasłuchać. Temu ten umarł, owemu się narodził; ten płakał, ów się śmiał, inny dzielił się czem Bóg dał.

Wszystko się do nas i do króla jegomości kupiło, ściągało, przyjeżdżało, a nie można rzec, tylko że mu honory wielkie oddawali. Tu u tego mostu, pod Tulmem, skąd już jeno mil kilka do Wiednia, stać przyszło póty, póki, jako Dunaj dwiema wyspami jest przerznięty, trzech mostów dla wszystkiego wojska przeprawy nie wystawiono. A było z tem kłopotu dosyć; pięciuset dragonów i półtora tysiąca piechoty do tego budowania prędkiego przeznaczono, i nie było ich za wiele.

Król sam chodził, przynaglał, rady się też wojenne raz w raz zbierały; a wszyscyśmy się wydziwić nie mogli zaślepieniu Turków i wielkiego wezyra, któryby był mógł pochód nasz, jeśli nie wstrzymać, to opóźnić i zrobić jakąś dywersyę, siły tak ogromnemi. Przecie żywej duszy nie posłał przeciw, znaku życia nie dając. Istotna w tej ślepocie jego okazywała się Opatrzność nad nami, bośmy prawie aż pod sam Wiedeń nieprzyjaciela ani ujrzeli,

Mówiono, że gdy im tam Tekeli o naszem ciągnieniu dał wiedzieć, nic a nic mu wierzyć nie chcieli, śmiejąc się i mając to za urojenie.

Tu do mostu przybył na zamek grafa Ardeka do króla jegomości książę elektor saski, krom innych. Bardzośmy też i tego pana byli ciekawi, ale nie wystąpił wielce. Dosyć miernego wzrostu, otyły nieco, włosów niemal rudych, krótko pozakręcanych, z brodą ze staroświecka, lat około czterdziestu. Suknię miał i szarfę czerwoną z frenzlą. Wyglądał nam na bardzo prostego człeka i roztargnionego umysłu. Książę lotaryński, generał Caprara i inni należeli do rady wojennej.

Szóstego września poczęliśmy się przez Dunaj przeprawiać, najprzód pan hetman wielki, potem reszta. Tegoż dnia dwór i my obozowaliśmy, popasawszy na jednej z wysp, na drugim brzegu Dunaju; ale tuśmy czekali przez 7 i 8 września, ażeby się wojsko całe przeprawiło, za którem zaraz elektor bawarski ze swymi nadążał Za Dunajem poczęły się góry przykre, a drogi nieznajome, gdzieby nas do nogi wybito, rozwleczonych, porozsypywanych, gdyby krztę rozumu byli mieli Turkowie, a nie ufali tyle w swego proroka. Ale prawdzi się tu też przysłowie stare, że kogo Bóg chce zgubić, zaślepia.

Wojska ciągnęły wąwozami niemal aż pod sam Wiedeń, nie spotykając nigdzie niewiernych; parę razy najrzeli ciurów ich, pasących spokojnie woły, ale tałałajstwo to, nie dobywszy nawet szabli, uciekało precz. Dziwniejsza rzecz, że gdy szły piechoty nasze, które Denhof prowadził, wpadli w jednym jarze na garść Tatarów, w ciemnej dolinie zewsząd opasanej górami; myśleli, że się bić będą i stało się poruszenie między ludźmi, ale starszy, co ich prowadził, podjechał do Denhofa, nie dobywając z pochew oręża, ani się biorąc do łuku, i pyta go łamanym językiem, jacy to ludzie, których prowadzi? Ten mu wręcz opowiada, że należą do wojska, któremu sam król jegomość dowodzi. A Tatar w śmiech, machnąwszy ręką, i woła:

— Myślicie, że nie wiemy, iż was garść tam przyciągnęła z Lubomirskim w pomoc Niemcom, i tyle wszystkiego.

Zabrał się tedy, nie poczynając ani myśląc bić się, do odwrotu powoli; nasi też go nie napastowali, po części ze zdumienia samego a po trosze dla tego, że się rozwinąć nie mogli i nie byli przysposobieni, choć na dobry ład nogaby jedna ztamtąd wyjsć nie była powinna.

Jakeśmy ztąd dalej ciągnęli, opisać to trudno. Łaska Boża nas prowadziła, bo o przewodników było ciężko; wozy musieliśmy porzucać, aby innemi drogami powoli za nami zdążały; a darliśmy się na wysokości lasami okryte, przez wąwozy, góry, przepaści, tak, że często i około człowieka i koło konia było bardzo kuso. A co odzie-

ży i twarzy poszarpanych, co szkap poderwanych i okaleczonych, jaka bieda i głód nawet nas tu potkał, nie wyrażę.

Nie mieliśmy już ani namiotów, ani żywności, ani nawet wody; król sam w te dni chlebem suchym się karmił, wody pożyczając od bawarskich żołnierzy, co ją w blaszankach z sobą wszyscy tam nosić zwykli. Jest to zwyczaj dobry, któryby naśladować potrzeba. Ale jak bohatersko to wszystko czynił, z jaką wesołością i uciechą, nie wypowiem. Drudzy z ludzi stękali, on się uśmiechał, prawiąc, że przed wielką uroczystością zawsze kościół post nakazuje, aby do niej duszę przygotować, ciału ujmując.

Czasami dwór tak od wojsk odstawał, które rozbite po górach się kryły, że nie wiedzieć nawet w której stronie było ich szukać, aliści gdzie z za pagórka ukażą się kopie husarzy, to już wiemy, że przed nami są. Tam to ja dopiero Pyladesa poznałem, co był za koń, że się chyba w górach rodził i znał dobrze z niemi; bo nie było ścieżki najwęższej, przez którąby się nie przedarł, z taką poczynając sobie ostrożnością, jakby rozum miał ludzki. Jam tylko admirował, a drudzy, którym szkapy padały i kolana się otłukały, nie mogli się koniowi wydziwić. Jażem mu cugle na karku położywszy, samego puszczał, bo pewnie lepiej odemnie sobą kierował; a zdawał się w tem rozkoszować, że sobie wolno sam tej drogi zażywał, i jakby swawolił, to liści pyskiem szarpnął, to się o gałąź otarł, a w przykrzejszych miejscach nogi stawiał z taką rozwagą i namysłem, iż satysfakcya była na niego patrzeć. Co tam drudzy ze swemi końmi mieli, nie wypowiedzieć; niektórym pospadały z gór i karki pokręciły w niwecz. Na jednem miejscu wśrod gęstwiny, kiedy się tak wleczemy, niby ścieżyną, ale fałszywą,, przyszliśmy na wązki jarek, w jarek, w środku którego rzeczka płynęła, ale łokci ze dwadzieścia albo więcej w głębi, a brzeg jeden i drugi jaru był wysoki. Szerokości od jednego do drugiego mogło być łokci mniej więcej do pięciu. Wszystko się to nad jarem zastanowiło, bo w dół się spuścić nie było podobna, boki jak ściany prostopadłe i obrosłe, a gałęzi suchych i ciernia pełno. Więc się poczęli zwracać w lewo a w prawo, szukając lepszego niejsca do przejścia. Jam też z Pyladesem nad samą krawędź parowu nadążył, i co dalej robić, nie wiem. Cuglem mu rzucił, patrzę, a tu drudzy klną i rozsypują się w różne strony. Jednym razem anim poczuł, że konisko nogi zbiera, grzbiet dźwignął, i jak da susa, to oparłem się na drugim brzegu, tylko piasek i kamienie posypały się. Powiem szczerze: omal mnie ten skok niespodziany z siodła nie wysadził, — i to szczęście, żem cugli nie miał, bobym był szarpnął, a wtedy — po wszystkiem: obabyśmy w jarze byli leżeli.

Jeden był głos, że podobnego Pyladesowi drugiego w całem wojsku koniaby nie znalazł.

Ale nie czas było o koniach naówczas myśleć, gdy wszystkie umysły tylko blizką walką z nieprzyjacielem, ostatecznym końcem naszej imprezy, na ostatek ciężkiem położeniem naszem smutnie zajęte były. Można powiedzieć, że król tylko jeden nie utracił wielkiego ducha, a ten w nim rósł owszem z każdą godziną. W oczach nam z ciała opadł, policzki mu się ściągnęły, ale we dwójnasób ognia w oczach przybyło i takiej żywości młodzieńczej, żeśmy mu nastarczyć i nadążyć nie mogli. Ja, com często koło namiotu sypiał i przede drzwiami na zawołanie stał, to wiem, że mi ciężko było tam bez snu wytrwać, gdzie król jegomość i oka nie zmrużywszy, ani się zdawał trudzić. Ordynanse ustawicznie na wszystkie strony szły, bo jako u naczelnego wodza, z każdego wojska szli odkomenderowani do tego ludzie przy jego boku, a listy, a rozkazy, a nieustanne odwiedziny książąt, grafów, wodzów, cudzoziemców wszelkiego narodu najróżniejszych języków i twarzy, wolontaryuszów, kawalerów chciwych sławy wojskowej i nauki rycerskiej pod tak wielkim wodzem.

Jednego dnia, nimżeśmy jeszcze te góry nieszczęsne przebyli nagle się rozeszła wieść, że cesarz sam przyjeżdża, aby króla naszego powitał; ale to było widocznie ułożone tylko, aby niby gotowość okazać, a w rzeczy bał się ruszyć i nie miał po co, bo tuby wcale nie poradził, a zamieszał dużo. Przybyłoby z nim ceremonii i parad, ostrożności względem poszanowania, a rycerska sprawa byłaby cierpiała na tem.

Z niezmiernym tedy trudem i uciążliwością drapaliśmy się na górę Kalemberg, przy niesłychanym wietrze, który nam dął w same oczy, iż miejscami trudno się było ludziom na koniach utrzymać. A żeśmy się już zbliżali ku temu placowi, który miał rozstrzygnąć losy nasze, i gdzie właśnie pogan siła niezmierna leżała, więc nieustannie i prawie mimowoli przyprowadzano języka, włóczęgów od wojsk wezyrowych, zabrane bydło i konie. Aleśmy tyle tylko od Tatarów dopytać się mogli, że ani o nas wiedziano, ani się troskano: a czego król jegomość najwięcej się lękał, żeby turecka moc nie odciągnęła, nimbyśmy przybyli i szabel naszych na niej spróbowali, o tem i mowy być nie mogło, gdyż się wezyr kusił właśnie o zdobycie miasta i w siły swe ufał, jakby go nikt w świecie pożyć nie zdołał.

Nim na ostatnią górę włazić przyszło, król u stóp jej popasał i spoczywał. Tu nam zaręczono, żeśmy już wszystkie przeszkody zwyciężyć mieli, i że od wierzchołka Kalemberga pod sam Wiedeń spuścistem wzgórzem, między winnicami, wygodnie wojsko schodzić będzie mogło. Aliści i to inaczej się potem okazało.

Wojska nasze poszły wyniosłość tę zająć na prawo, Niemcy zaś, Sasi, Bawarczycy i inne w lewo, a tu już odkrył się nam przed nocą widok wielki na miasto całe i na to obozowisko wezyra, które było straszliwie rozległe, jakby miasto drugie, gdzie wśród namiotów i szałasów tysiąców tysięcy, dopatrzyłeś i księżyców złotych, i różnych wspaniałości, kolorów, chorągwi mnóstwo. Wszystko to jako mrowie u stóp naszych leżało na takiej przestrzeni, że obliczając co tam ludu być mogło, przestrach ogarniał. Król się tak niecierpliwił, jadąc, że gdy widok się odkrył, dopiero odetchnął, a przystanąwszy tu jak wryty, nie wiem co czynił, ale zdawało się, jakby się modlił. Ludzie do niego mówili: nie odpowiadał. Stał długo; dopiero jakby ocknąwszy się, rzecze do hetmana:

— Oszukali nas: góry tej w prawo nigdy nie okazali wprzód, a zejście dużo gorsze niż opisywano. Przyjdzie cały szyk bojowy zmieniać.

Potem spokojnie z góry wojska krocie przeżegnał, i konia zawrócił.

Wojsko nasze całe rozstawione wszerz, na jakie dobre pół mili po lasach, tak, że ścieżkami tylko od skrzydła do skrzydła przedrapać się można było. Król przy piechotach w odkrytem nieco miejscu na samym skraju z prawej ręki kazał sobie rozbić namioty. Dokoła pułków piechotnych obciągniono wozami i końmi, jakby obóz, i postawiono kilka sztuk, dział, które były przyszły w porę. Konnice, dragony, husarze, pancerni, petyhorce, gdzie kto mógł i jak mógł po lesie; tylko szczęście, że nas w tym nieporządku nie napadli. Do późna, aż ściemniało, król nie mógł spocząć, jeno patrzał, rozglądał się, posyłał, ordynował, a powtarzał:

— Cóż to za poczciwe Turki, że na nas czekali! Jenom tego się lękał, żeby mi nie uciekli. Bądź, Panie, pochwalony, żeś ich tu oślepiwszy, wstrzymał.

Mało kto tej nocy zasnął pewnie, bo niemal przez całą z dział bito ustawicznie i łyskało ciągle a huczało; drudzy też, choć zmęczeni pochodem, z ciekawości zdrzemnąć się nie mogli i niepokoju o dzień jutrzejszy. Wśród obozu mało z razu ogniów niecono, żeby nas nie odkryto przed czasem; ale w nocy przysłał król z nakazem, aby drzew narąbać i kilka stosów dobrych nałożyć, tak, aby z Wiednia je dojrzeć mogli, i żeby im to otuchy dodało. Więc około tych ognisk siła było w wigilię bitwy takich scen, żeby ich na wołowej skórze nie spisał. Różne są natury ludzkie i humory ludzi, a nigdy się to lepiej nie okazuje, niż w tych chwilach, kiedy ludzie z karbów powszedniego żywota wyszedłszy, mniej na siebie zważają i cugli sobie puszczu wolniej. Tu się też popisywały rożne usposobienia w przededniu

wielkiego boju, wróżąc, marząc, zgadując i na jutrzejszy się dzień sposobiąc.

Mnie, że był właśnie król na oględziny wysłał, abym powoli obozowiska objechał, humory wybadał i zdał sprawę co po wojsku się dzieje, jak żołnierz się ma i co sobie tuszy, tom całą niemal noc spędził, od ognia do ognia się włócząc, serca dodając, śmiejąc się z jednymi, z drugimi kłócąc. A już jako żyw tej nocy na Kalembergu nie zapomnę.

Młodzież też, po zwyczaju gorączkowała, wytrawniejsi nie dowierzali i przemyśliwali; w ogóle duch był jak najlepszy, ale wiał on od króla. Widzieli wszyscy, jak szedł i jak promieniało mu tryumfem oblicze.

A tu też dodać muszę, co mało komu do wiary, chociażem ja na to oczyma własnemi patrzał, a i wielka część wojska także, godna rzecz pamięci i cudowna. Jakeśmy w góry morawskie wchodzili jeno, ponad tą gromadką, gdzie i ja byłem przy królu, wzleciał orzeł ogromny, niewysoko ciągnąc, może na strzelanie z łuku, a prowadził nas tak aż na Kalemberg, to się podnosząc, to zniżając, wciąż kołując nad głową prawie królewską, przez więcej niż siedem mil. Jako przy ogniskach sobie to opowiadali, wróżąc dobrze.

Było rozmów, żartów, śmiechów, zakładów co niemiara. Podjeżdżam do jednych, a był między nimi Śniatyński z pod chorągwi księcia wojewody, żołnierz jakich poszukać i nie znaleźć, stary już szpak: ten sobie na rożenku głogowym piecze jakiegoś ptaszka, oskubawszy, ale chmurny, jak ze środy na piątek.

— Czołem, mości panie.

— Czołem.

— Co się jak ćma po nocy tłuczecie?—pyta.

— Z rozkazaniem królewskiem.

— To co innego.

— Ale cóż to wy—powiadam—jakby nie swoi? czy co dolega?

— A co ma mi dolegać?—rzecze ze śmiechem; skóra dobrze wyprawna nie boli, kości też niemiękkie, mięsa zaś nie mam, a dusza do hazardu przywykła.

— Przecież czegoś martwicie się—rzekłem.

— Nie, ale się przed bitwą spowiadam sam przed sobą, a całe życie przechodząc i po tylu trupach stąpając, toć wesoło bardzo być nie może.

Nazajutrz też Śniatyńskiego na świecie nie było. Innych znalazłem różnie: modlących się, odgrażających, a wrzawy, a śmiechu ile dusza zechce. Przy jednem ognisku byli Turcy powiązani, którym świniny dawszy jeść, winem popoili, na wzgardę proroka, i tak to jak drewno legło, nieprzywykłe do trunku.

Jużem, objeżdżając swoje ognie, dotarł aż do Niemców, kiedy przybiega Łukowski, odwołując, że tam ktoś na mnie czeka opodal. Podjeżdżam, widzę, na chudej szkapie ni to Tatar, ni ciura od naszych, ogorzały, ale gada do mnie połamanym językiem niby naszym, a coś mruczy, że go dobrze zrozumieć nie mogę, a zerka na wsze strony, a bełkoce. Zbliżam się do niego: ten mi okazuje na migi, że ma na stronie do pomówienia ze mną.

— A cóż to za szczególna miłość waszmości dla mnie? albo-li się to znamy?

— Tożci waszmość ze dworu od króla—powiada.

— No, od króla.

— A ja do króla—rzecze,—prowadź.

— Z czem?—pytam.

— Z językiem.

I jakoś mu się gęba rozwiązuje, że coraz lepiej gada. Myślę sobie: „Niechże jedzie.“

— Ruszaj waść za mną!

Nuż się napowrót mimo ogniów drapać przez krzaki pod namioty królewskie. Wiodę go, jakoby jakiego jeńca, a że do dyabła był podobny, patrzą na nas zewsząd i dziwują się.

Dobiliśmy się do namiotów wreszcie; złażę z konia, dając go Grzesiowi, aby iść z raportem; więc go pytam znów: czego chce? Ten mi swoje:

— Do króla.

-- Stójże, powiadam, i czekaj. A jak cię mam oświadczyć?

Dopiero ów, przystąpiwszy, tak, iż myślałem, że mi ucho odkąsi, szepcze raz i drugi:

— Mówcie od hana, od hana Mirza Mehmed Abdula. Król mnie zna; powiedzcie mu, że ten z pod Chocima.

Poszedłem tedy do namiotu. Tylko co się była ostatnia rada wojenna skończyła. Zastałem króla jegomości zamyślonego nad kartą, ale nie smutnego, rzeźwej myśli. Odwrócił się.

— A co?

Poczne tedy mówić, com widział i słyszał, aż nareszcie o Tatarze. Król się wzdrygnął mocno.

— Gdzie jest?

— Przed namiotem.

Pomyślał chwilę.

— Dawaj mi go tutaj!

Więc ja po mojego Tatara i prowadzę. Nikogo nie było, przeto mi król przykazał u drzwi pozostać.

— Słuchaj—rzekł—choćby cię pieczono i warzono w smole, nie powiadaj co się dzieje w szkole; rozumiesz?

Nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać. Wszedł ogorzały ów z pokłonem, milczący, patrząc w króla jak w tęczę, a król w niego i długo i pilnie.

— A co wy tu robicie?—zapytał pan po chwili, jakby ochłonąwszy z podziwienia i poruszenia, które się w twarzy wydawało.

Tatar miał głowę spuszczoną, patrzał niedobrze z podełba, nierychło i niełatwo zebrał się na słowo, ale począwszy od bełkotania, potem już mówił coraz płynniej po polsku.

— Musimy—rzekł—swoich posiłkować. Idziemy z Kara Mustafą za chorągwią proroka; alebym to ja, królu, mógł was zapytać lepiej co wy tu robicie? Wszak to ziemia nie wasza.

— Sprawa to Boga naszego, odparł król, i ten mnie tu zesłał.

Tatar zamilkł na chwilę.

— Mamyż i my potykać się z wami?—zapytał—my stare wrogi i stare druhy? Siedzi naszych braci wiele, a dawno na ziemi waszej, i dobrze im z wami. Byliście im gościnni jak bracia. Choć musimy bić się z wami, nie radzibyśmy. Dajecie nam podarki i pokój mamy od granic. Za cóż krew wasza i nasza o cudzy spór się ma przelewać.

Teraz król milczał.

Po chwili rzecze:

— Po coś tu przyszedł? Zbliża się godzina, kiedy Boża prawica między nami a wami ma rozstrzygnąć. Nie pora na słowa. Po coś tu przyszedł?

— Jam tu tak przyszedł, odparł Tatar, jakem przychodził do was pod Chocimem: z ręką wyciągniętą. My się z wami bić nie chcemy i nie będziemy. Han mnie przysyła pozdrowić was i powiedzieć: „Pokój z wami!“ Nie napadajcie na nas, a my bez boju zejdziemy z placu.

— Chcesz, bym temu uwierzył? — pytał król,—a cóż mi ręczy, że słowa twe nie są zdradą?

— Przekonacie się, wielki królu!—rzekł Mirza. My nie pójdziemy na was. Han wie, że was tu siła boża prowadzi, że jesteście większym czarownikiem niż my. Nie chce walczyć i próżno krwi przelewać. Pszysłał mnie ze słowem zgody i pokoju; przychodzę. Posłem jestem, jakem już raz był—pamiętacie?

Zamyślił się król, i rzekł po chwili:

— Uczyńcie jako obiecujecie, a braci waszej u nas będzie jak w domu rodzicielskim. Potwierdzim im przywileje i swobody. Nie chcę, byś bez upominku odszedł.

Wziął król z kufra, który stał w namiocie, kiesę ze złotem, i dał ją z rąk własnych Tatarowi, mówiąc:

— Oto będzie znak, że i ja was odsyłam do hana ze słowem zgody i pokoju. A ten oto — wskazał na mnie — odprowadzi was do przednich straży.

Tatar czoło pochylił.

— Nie trzeba—rzekł; znalazłem ja tu drogę pośród obozu waszego, odszukam ją i napowrót, mimo nocy. Niech Bóg wszystkim ludziom dobrym da błogosławieństwo!

To mówiąc, jeszcze się raz pokłonił i wysunął.

Jam stał jak oniemiały. Król skinął na mnie, abym go przewiódł. Ruszę więc w ślad, ale tuż za namiotem w tę noc ciemną padł jak w przepaść, tyle go oczy moje widziały.

Powróciłem tedy do króla, Modlił się już przed obrazem Najświętszej Panny. Po chwili wstał z wesołą twarzą.

— Milcz-że mi!—rzekł cicho. Nie wierzę ja w te tatarskie oferty: ale nie godziło się odpychać. Jeśli jest komu zostać na straży, idź wasze spocznij, bo jutro będzie robota ciężka i bodaj długa, a dobrze się już i tak zmachałeś.

Wyszedłem, ale nie spać, bo wcale mi się na sen nie zbierało; a żem o południu, trochę się zdrzemnął w czasie wypoczynku, mogłem całą noc trwać obudzony, jak sobie postanowiłem. Szedłem tedy do swoich, gdzie dwór leżał, ale tu już mało nie połowa spała. Kilku zapamiętałych jeszcze kości rzucało; inni gawędzili o różnych wyprawach na Turków, jak sobie z nimi poczynano.

Czyli król tej nocy co spał, nie wiem. Jak dzień, znowu były narady wojenne; przyciągnęli książęta i wodzowie; a że z tych kart, które były wcześniej królowi przysłane, niedobre miał wyobrażenie o sytuacyi, przyszło cały szyk boju i plan batalii odmienić. Ponieważ zejście z Kalembergu, wśród winnic a jarów, wcale nie było tak łatwe, jakeśmy sobie z razu wyobrażali, i spadzistość daleko przykrzejsza niż mówiono, i zawad różnych wiele, przeto król jegomość postanowił, że przez trzy dni, mieliśmy iść do głównej armii tureckiej i dopiero trzeciego, stoczyć bitwę stanowczą. Oznaczył też na karcie i na ziemi od oka te miejsca, do których każdego dnia dojść byliśmy powinni. Tak było ułożono po ludzku, ale Bóg to lepiej sam sprawił, jak zaraz się okaże.

Mieliśmy z razu, wedle myśli króla jegomości dawniejszej, całemi regimentami razem przeć linię nieprzyjaciela; teraz zaś to odmieniono tak, że niewielkiemi partjami znosić trzeba było pojedynczo ich kupy, zdobywać pozycye i wyruszać z posterunków, samym one zajmując.

Myśmy z wojskiem naszem prawie całem, wyjąwszy kawalera maltańskiego Lubomirskiego, zajmowali prawe skrzydło, obejmując z dala, szeroko, półksiężycem plac, by się osłonić od tatarskiego jakiego z boku natarcia, król bowiem owym obietnicom hańskim wcale nie ufał. Książę lotaryński stawał z przeciwnej strony, od lewego skrzydła ku Dunajowi, zajmując górę Kalemberg i sąsiednie pagórki. Z tego powodu, będąc bliżej nieprzyjaciela, miał też nań wprzód nacierać. Elektor saski ze swymi był po prawej stronie księcia lotaryńskiego; bawarski też koło niego także z prawicy. Wszyscy książęta na czele swych ludzi osobami swemi potykali się.

Na zaraniu wszystko się to szykować zaczęło. Król już był na nogach, dawał rozkazy, a w chwilach spoczynku modlił się, nic od rana w usta nie wziąwszy, gdyż postanowił spowiadać się i komunikować przed bitwą.

Nieopodal stała niewielka kapliczka Świętego Leopolda, gdzie Mszę Świętą z błogosławieństwem miał dla nas odprawić włoski kapucyn ks. Marek Aviano mąż pobożny a prawie święty, o którym wieści takie chodziły, że za łaską Bożą cuda miał czynić.

Gdy król się udał do kaplicy, kto tylko mógł, to się tam za nim cisnął; drudzy z odkrytemi głowami stali przede drzwiami, bo ledwie dla przedniejszych miejsca stało we środku. Kapelani też i różni duchowni po chorągwiach, gdzie było można, na ołtarzach z darni i pniów wprędce przysposobionych dla wojska, wszędzie Mszę Świętą odprawiali, czemu się obcy dziwowali niemało, żeśmy tak się okazywali pobożnymi aż do ostatniego ciura.

Gdy król przede Mszą się wyspowiadał, królewicz też i hrabia Malini, wyszedł ksiądz ów ze Mszą cichą, po której przyjęliśmy wszyscy Komunię z rąk pobożnego starca, i naostatek błogosławieństwo na bój, do czego dodał po łacinie przemówienie ku nam i królowi.

Te tylko słowa jego zapamiętałem dobrze, iż odezwał się kończąc:

— Jeżeli ufność macie w Panu, otrzymacie zwycięztwo.

Zaczem święty ów człowiek ukląkł, a potem położył się krzyżem i modlił, a gdy przyszło iść już na nieprzyjaciela, ująwszy krucyfiks w ręce, szedł przodem z nami, tak mężnie i spokojnie sobie poczynając, jakby jeszcze w kościele był, nie na bojowisku.

Wracając z kaplicy Świętego Leopolda, król, który od wczora kropli wody w ustach nie miał, a sił potrzebował, musiał zasiąść pod namiotem dla niego postawionym prawie w przodku szyku, poniżej zamku, gdzie mu obiad przygotowano, który spokojnym umysłem pożywał. Była godzina, myślę, około jedenastej na półzegarzu, kiedy wstał od obiadu.

Wdział był król na ten dzień uroczysty, kontusz sukienny niebieski, na żupan biały jedwabny; konia pod sobą miał maści płowej, bardzo dobrego i wytrwałego, pewnych nóg i wielkiej mocy, bo też miał co i nosić. Krom Pyladesa, który był przyjaciel nie koń i stworzenie rozumem obdarzone, takiego drugiego w całym wojsku nikt nie miał. Do samej nocy, idąc z królem po najgorszych drogach, nie utknął. Jechał koło króla jegomości poprzedzając go, giermek z puklerzem, w kształcie herbowej Janiny, i chorąży z proporcem, do którego przymocowano u góry, na znak przytomności królewskiej, pęk skrzydeł sokolich.

Królewicz Jakób prezentował się też kawalersko, w lekkim szyszaku na głowie, ze zbroją piękną na piersiach i szpadą u boku. Przyczepili mu wszakże po naszemu, do siodła szablę krótką a szeroką, bo gdyby sam bronić się potrzebował, szpadąby niewiele dokazał.

Obyczajem rycerskim, iż się bitwa z nieprzyjacielem za największą uroczystość liczy, każdy też brał co miał najlepszego, i przystrajał się a przesadzał w rynsztunku, rzędach, siodłach i zbroi. W chorągwiach niemieckich, tegośmy zwyczaju nie postrzegli, ale u nas się to działo od wieka i przechodziło tradycyą z ojca na syna, aby do bitwy stawać jak do ołtarza, w paradzie. I wszystko się odbyło uroczyście dnia tego, począwszy od Mszy Świętej, benedykcyi, pieśni pobożnych, które nucili chorągwiami wszyscy, prócz piechoty cudzoziemskiego autoramentu, aż do samego iścia i spotkania, które czyniono jako powinność wielką, z duchem do Boga wzniesionym i dobrą sprawą przejętym.

Gdy wszystko było w pogotowiu, wojsko z okrzykiem na całej linii: w Imię Boże! posuwać się zaczęło. W pośrodku stanął sam król, któremu zdano całkowite dowództwo i przykaz od cesarza samego, by jego ordynanse święcie spełniano. Książę lotaryński przysłał na ten cel do orszaku królewskiego dosyć swoich wojskowych, aby z ordynansami było kogo rozsyłać. Dział mieliśmy i niewiele i małych; przeto choć je na górze ustawiono, a ognia z nich dawano, kule albo nie sięgały Turków, lub mało co im szkody czyniły.

Byłem przy królu jegomości, gdy na koń siadał, i mogę zaświadczyć, bo na to własnemi oczyma patrzałem, że z niecierpliwości i tego pragnienia boju, jakie miał, gorzał wyraźnie. Wydawało się to na jego twarzy, która cała była jaśniejąca i na podziw rozweselona, promienista, jakby na największą szedł ucztę. Z góry już ztąd cały porządek bojowy doskonale oglądać było można.

Turcy się prawie nie ruszyli, i zdawało się, że nie zważając na nas, coraz zapamiętalej do miasta szturmują; zajęli tylko z wieczora, samo podnoże gór pod zamkiem, w dziesięć do dwunastu tysięcy ludzi'

których ukrytych w głębokim rozdole, ledwie wierzchy chorągwi widać nam było, bo ich góra zasłaniała.

Od rana poczęły się już były na lewem skrzydle potyczki, ale małemi kupkami, jakby na próbę ze szczęściem różnem. Występowali do nich dragoni sabaudzcy, trocha Sasów i nasz też oddział z kawalerem maltańskim Lubomirskim, marszałkiem naówczas nadwornym koronnym. Już żwawe były utarczki wprzódy, nimeśmy też my poczęli, a pułkownik chorągwi Lubomirskiego, niejaki Kiński, dostał szablą przez głowę od Turka tak szpetnie, mimo że sobie z rana w czapkę włożył był podkowę od cięcia, iż we trzy dni potem Bogu ducha oddał.

Turcy tem z razu Niemców oszukiwali, iż wedle swego obyczaju, zsiadłszy z koni, potykali się, a dawszy ognia, koni znowu dosiadali, na których sądzono, że uciekać myśleli, więc się jazda na nich oślep rzucała w gąszcz, a oni ją obstąpiwszy, siekli, że ledwo kilku z życiem uszło.

Już gdyśmy z królem naszym na konie wsiedli, bitwa się była na lewem skrzydle rozpoczęła na dobre, a i koło nas też pukano. Taki harc po tych górach, rozdołach i jarach wszczynał się coraz żywszy, że aż gorączka brała samemu tam wpaść i szabli też dobyć a pohulać, ale obowiązek za nogi trzymał.

Turcy się byli pozaszywali wszędzie między owe winnice, po za murki, w jary, w doły, a wyprzeć ich posterunki nie wszędzie było łatwo, i krwi to naszej kosztowało dosyć. Aleśmy się posuwali w dół i całym ciężarem padaliśmy na nich zewsząd jak grad z góry.

Prawie w samym bitwy początku spotkał króla i nas smutny *omen*, z którego gdyby nie lepsze serce i ufność w Bogu, można było bardzo źle wróżyć, o dalszych naszych losach. Chorągwią husarską ojca swojego, kasztelana krakowskiego Jędrzeja Potockiego, dowodził zawołany rycerz, wypróbowanego męztwa i sławy już wielkiej, a nadziei dla ojczyzny młodzieniec, starosta halicki. Znaliśmy go wszyscy z najpiękniejszych duszy i serca przymiotów, jako męża ryrerskiego, któremu hetmańską buławę prorokowano, boć nie nowina była Potockiemu hetmanić. Ten to był, który z młodu wiele już podróży odbywszy, z Włoch powracając do Belgii, ze statkiem prochami, wysadzony został, niedaleko miasta Brukselli, ale prawdziwie cudownie, za łaską widać tego Świętego Wincentego, którego ciało w Rzymie, Papież mu był ofiarował, salwował się z życiem, cało i zdrowo na kępę będąc wyrzucony. Gorącego temperamentu w potyczce, nie zważając na żadne niebezpieczeństwo, starosta halicki prowadził husarzy na okrutną rzeź, gdzie wielu godnych kawalerów poległo i on sam, mimo koszuli żelaznej, którą był okryty, śmiertelnym strzałem na wylot rażony został. Znaleziono potem ciało jego wśród winnicy, z ręką na piersi, ale już

zimne, które nieszczęśliwemu ojcu odwieziono i pogrzebiono w Stanisławowie.

Kiedy o tem znać dali, król aż zapłakał, bo go kochał jak syna i wiedział, jaką to sprawi boleść kasztelanowi krakowskiemu; ale to w niczem jego męztwa i ufności w Bogu, nie zachwiało. Szliśmy tedy naprzód, wciąż posuwając się, a raczej w dół, gdy przypadło drugie poselstwo, że wyprawiony przed pół godziną przez króla jegomości pan podskarbi nadworny Modrzejewski, gdy z rozkazami przed linią przejeżdżał, od postrzału także zginął.

Tak się nam ten dzień, od fatalnych klęsk poczynał, jak gdyby Bóg stałości naszej chciał próbować, ale i król mimo żalu, i ks. Marek zagrzewali, ażeby choć do tego miejsca dotrzeć, kędyśmy wedle myśli królewskiej stanąć na noc obozem byli powinni. Gdyśmy się spuszczali coraz z gór, już i cała ona armia Kara-Mustafy, pokazywać się nam zaczęła odsłoniona, a było tego jak mrowia, tak, że my, choć rozłożeni na przestrzeni znacznej, kupkąśmy się przy nich wydawali. Na samym skraju obozu stały siły główne tureckie, ku nam obrócone, chociaż inne tymczasem dobijać się do miasta i szturmować nie przestawały.

Od rana dnia tego skwar był tak okrutny, jak w kanikułę nikt nie pamiętał; słońce piekło, gdyby rozpalonem żelazem, że się nam szyszaki na łbach palić zdawały, a pot z koni i ludzi strumieniami się lał; pragnienia zaś nie było czem ugasić, ni człeku się czem orzeźwić.

Gdy tak posuwamy się pod tą spieką, jakby pod piecem rozpalonym, król skinął ręką na mnie, abym się zbliżył, i wskazuje ku husarzom na prawo, by co rychlej ruszyli się zajmować pagórek.

— Leć wasze do nich, a powiedz —woła—na Boga żywego, niech mi co najprędzej biorą ten jar, a wyforują to tałałajstwo tam z nory.

Od spodu bowiem, kupa była Turków zasiadła i przyczaiła się.

Spiąłem konia, który tego dnia cudów dokazywał, i pocznę sadzić; ale spadzistość miałem na drodze tak wielką, iż myślałem naprzód, że koń padnie, potem, że ja mu na łeb polecę. Na grzbiecie-m mu się kładł, by usiedzieć. Gdzieby był człowiek innym razem ledwie się stępa ważył, tu było w czwał potrzeba. Ciężar jeźdźca i zbroi zdawał się konia przygniatać, ale ten nieoszacowany wierzchowiec wyrywał mnie ze wszelkiej toni; jam się przeżegnawszy modlił, on swoje robił. Tuż wpadam na husarzy trzeci szereg, alem się utrzymać nie mógł i poleciałem do pierwszego. Znalazłem się więc razem z nimi, którzy nie czekając rozkazania, na Turków wsiedli pośród samej bitwy. Tłukli ich dobrze. Wzięła i mnie tedy chętka, bo cóż miałem być nieczynnym spektatorem i martwym rozkazodawcą? Puszczę się w kupę z drugimi, między one kaftany i pozawijane łby, a dobywszy szabli i zrobiwszy

nią krzyż w powietrzu, kiedy nie pocznę siec w lewo, w prawo, nie patrząc! A mój koń też, poczuwszy co to za gra, gryzie sobie i chwyta co napotka...

Turek bestya, olbrzym ogromny, w czerwonym kitlu, zakasawszy rękawy, z nożem w zębach od zapasu, sadzi na mnie wprost, krzywego handżara podniósłszy; ja też nań. Płatnę go raz, tylko świsło w powietrzu, nic... zgiął się tak na siodle i położył, jakby go na szkapie nie było; aż znienacka pochwyci się podniósłszy, i przyskoczy do mnie wraz z koniem, gdym wcale nie był gotów. Tylkom się przygiął, myśląc sobie:—„Tu mi dopiero koniec!” Aż Pylades ze mną przeciw niemu kiedy nie chluśnie, potem pyskiem za gardło poganina, który się podał nieco, i ścisnął go tak, że mu szabla z rąk na ziemię wypadła umarłemu. Tak mnie to poczciwe, rozumne zwierzę od niezawodnej śmierci salwowało, swojem męztwem i roztropnością. Nie było czasu koło trupa chodzić, choć wydał mi się jakiś znaczny komendant, tylkom trochę zlazł, by mu żeber pomacać, ano niedarmo, bo za pazuchą kiesę napytałem dobrą, i zegarek złoty, wielki jak rzepę. Tom tylko wziął,—siadłem na koń i dalejże znów, choć miałem przykazanie, wydawszy ordynans, powracać zaraz; ale już pot poczuwszy, głowę straciłem. Puszczę się raz jeszcze w tłum; natyka mi się właśnie Nałęcz, jakby mnie Opatrzność dla niego zesłała: z ręki mu krew chlusta, a bije się ostatkiem sił. Bryzgnęło na mnie krwią, aż mało mi oczu nie zalało, i całą twarz miałem umazaną. Dwóch Turków na nim siedziało, a bronił się im, nie było co rzec, bardzo rycersko. Wtedy ja, choć niebardzo miłemu, ale bratu mojej panny, na odsiecz wedle powinności chrześcijańskiej, pośpieszyłem. W samą porę, bo słabł od utraty krwi. Z boku z Pyladesem przyskoczyłem, i jednego z pogan poczęstowałem tak pięknie zaraz, że się mi aż do ziemi pokłonił. Nie czekając więc, przesadziwszy trupa, szedłem na drugiego i płatnąłem w ramię; Nałęcz też go pobłogosławił, aż padł. Odwróciwszy się, chorąży mnie dopiero poznał.

— Co tu waszmość robisz?—rzecze;—anom ci życie winien...

Chciał jak siedział ściskać, ale rękę mu tylko podałem, a widząc, że krew uchodzi z rękawa, jakby butel odetknął, związałem chustą, którą miałem u pasa, i wołam, by ustępował, bo i mnie też wielki był czas powracać do króla.

— Do żywota ci tego nie zapomnę,—rzekł, całując mnie. Poczciwieś począł!

Jużem milczał, rzekłszy tylko:

— Niema za co dziękować.

Anom myślał, że mnie w rzeczy samej Pan Bóg prowadził na to szczęśliwe spotkanie.

Chciał jeszcze chorąży zostać ze swymi, ale ręki tak jakby nie miał. Wziąłem go z sobą i pojechaliśmy, gdzie stał król, a on sam na tył do wozów, bo mimo obwiązania mjego, cyrulik był koniecznie potrzebny. Ani chlebem tam, ani pajęczyną takiej rany zatkać nie było podobna.

Właśniem do króla powracał na to miejsce, do którego był przez ten czas doszedł, gdy czerwony namiot wezyrski (pod którym, jak później się okazało, wtenczas właśnie, wezyr z dwoma synami swymi i hanem tatarskim, wespół kawę pił) król ujrzał przed sobą. Oczy mu się zaraz zapaliły, spiął konia co prędzej naprzód; my też wszyscy za nim. Ręka mu drżała, gdy na ten czerwony znaczek wskazywał. Było przy nas nie więcej nad trzy małe działka, które powoli podtaczano na kółkach, z biedą wielką ustawiając tu i owdzie, bo ich inaczej po górach przewieźć nie było podobna.

Król do mnie, ujrzawszy namiot, odwrócił się, patrzy (a miałem całą twarz we krwi) i woła:

— A gdzieżeś się tak umalował?

Dopierom postrzegł i ja, że cały byłem pomazany przez Nałęcza, i począłem się uśmiechać.

— Najjaśniejszy Panie, nie moja to jeszcze krew, choć-em trochę z hussarzami poharcował.

Pyta:

— I zdróweś?

— Nic mi, Najjaśnieszy Panie, ani mnie drasnęli.

— To dobrze. Lećże, moj Mroczek, na rany Chrystusowe, do naszych działek, niech mi wszystkie walą w ten oto, widzisz, czerwony daszek. Za każdy strzał pięćdziesiąt talarów dam, by gęsto a raźnie! Niech dobrze celują, proś Francuza, zaklinaj!

Francuz był przy tych działach Murie, aleśmy go zwali Marmurek, bo miał twarz od ospy tak popsutą, że wydała się niby żyły na marmurze.

Jużem się kopnął z miejsca, a król jeszcze za mną woła:

— Na krew Pańską, powiedz Francuzowi, niech nie odpoczywają, a do czerwonego namiotu walić!

Lecę tedy na złamanie karku, wprost do tych dział z rozkazem, i trafiam na największy zamęt—rozstąp się ziemio, nie ma flejtuchów do nabijania. Rozsyłają po obozie, by ich dostać, bo się w porę nie zaopatrzyli. Powiadam Francuzowi owo poselstwo królewskie i o talarach obiecanych; skręcił się, gorąca sztuka. Patrzę, porywa się za łeb, zerwał sobie perukę, bierze rękawice, chustkę z szyi, ano i tego mało, wyrwał z pluder pakę papieru drukowanego, skręcił to wszystko razem i w działo wpakował. Uśmiałem się z Francuza i jego gorączki, choć nam tam nie szło wówczas do śmiechu; ale kula, znać

niedobrze wycelowano, poszła dyabli wiedzą gdzie, razem z peruką Francuza.

Szło tedy dalej wojsko, padając z tej góry na nieprzyjaciela coraz szybciej, nadeszły w tym punkcie piechoty nasze i zawzięła się bitwa okrutna, na którą król patrzał, nieustannie rozsyłając gońców w różne strony, a pobudzając wszystkich do czynienia powinności. Sam też naprzód się darł i pędził, że go ledwie utrzymać było podobna i z nim zrównać. Mimo skwaru okrutnego i znużenia, dziwnie się zdawał rzeźwym i wesołego oblicza.

Byłem raz jeszcze wysyłany do hrabi Malini'ego, który razem z koniuszym koronnym szedł na Turków przodem, by to wzgórze zajmował, które pierwszego dnia za metę i spoczynek wyznaczone było. Powróciwszy, stałem już u boku królewskiego znowu, gdy jakoś wprędce ujrzeliśmy, że się stało wedle ordynansu, a wojska nasze zajęły łatwo oznaczone miejsce, i tu przystanęły, jak rozkazano było. Król plasnął w ręce i konia spärł. Pośpieszyliśmy ku nim. W dole pod nami, srogi trwał bój.

Dotąd, a było już nad wieczorem, Turcy nam opór dzielny stawiali, i ani myśleli pierzchać. W chwili, gdyśmy przybyli na skraj góry, król konia wstrzymał i począł się mocno wpatrywać.

Poglądaliśmy i my, i wszyscy tam zgromadzeni dowódcy wojsk cudzoziemskich, ale nikt nic nadzwyczajnego nie dopatrzył, żadnego szczęśliwego ani złego znaku; tylko królewskie oko, bystrzejsze, nawykłe do tureckich wojen i ich sposobu poczynania, czyli też jakąś osobliwszą łaską Bożą oświecone, więcej od wszystkich dopatrzyło.

Jak stał król, tak nagle ruszył się, rękę podnosząc do góry.

— Niech będzie Imię Pańskie błogosławione! zawołał—Bóg z nami pierzchną, złamani są! Husarzy naprzód! Husarzy, na miłość Chrystusa, naprzód!

Że wprzódy wydany był rozkaz, ażeby tu stanąć i spocząć, aż do jutrzejszego rana, wszyscy się zdziwili niepomału, ale wnet posłuszni, rozbiegliśmy się z nowym ordynansem.

Król, nie zważając na zdziwienie powszechne, bo tam, oprócz niego, nikt nic osobliwszego między Turkami nie dopatrzył—ciągle powtarzał:

— Na rany Chrystusowe, teraz pora, lub nigdy! Do jutra się opamiętają. Teraz im na kark wsiąść, kto w Trójcę Świętą wierzy!

Ta ufność, z jaką król ciągle jedno a jedno powtarzał, i po polsku, i po łacinie, i po francuzku, tchnęła też we wszystkich jakąś wiarę niezmierną; ogarnęła chęć walczenia, męztwo i gorącość nadzwyczajna każdego; ruszyli się wszyscy, każdy sobie, żywo a mężnie.

Pchnął król zaraz jednego z oficerów Księcia lotaryńskiego do niego o posiłki, drugiego do husarskich chorągwi, by na łeb na szyję szły naprzód. A tu w istocie na skręcenie karku jazda iść już musiała, bo przez takie wertepy z góry na dół, po murkach, przez winnice, nierównym strasznie gruntem, że się tam innego czasu ledwie pieszemu człowiekowi można było na nogach utrzymać. Zdawało się że to wszystko pospada; przecież ludzi, bodaj nawet konie, jakiś duch ożywiał, którego nikt nie pojmie, kto go w sobie nie uczuł. Waliło się to z odgłosami, z okrzykami radosnemi, a ochotą i sercem tak wielkiem, żeśmy się sami nie poznawali.

Król też nie pozostał w miejscu, i z wojskiem, które miał przy sobie, ruszył z impetem wielkim; ks. Marek z krzyżem przy nim. My wszyscy, dwór, straże, puściliśmy się ku samemu środkowi wojska wezyrowskiego. Tylko nimeśmy ruszyli z tego miejsca, król przyzwawszy do siebie hrabiego Malini'ego, szwagra swojego, człeka mężnege i statecznego w boju, oddał mu królewicza Jakóba, by był nieodstępnie przy jego boku,—sam zaś, przeżegnawszy się. z rozweseloną twarzą konia spiął — i poszliśmy jak w otchłań na to pogan mrowisko.

A była to owa chwila stanowcza, w której nam Bóg dał zwycięztwo. Wszystko winno było wojsko jednemu temu wejrzeniu i natchnieniu króla, który dalej i lepiej, bo proroczo widział, gdzie dla drugich ciemno było, a sam tylko przeczuł ową jasną przyszłość, która nam zgotowana była.

Wstąpił taki duch we wszystkich, taka gorącość i ufność w pewne zwycięztwo, że choć na dziesięćkroć liczniejszego szliśmy nieprzyjaciela, jużeśmy w sercach czuli, że go złamiemy. Od tego rozkazu posunięcia się naprzód zależało wszystko, los dnia, stolicy, chrześcijaństwa może, a sławy naszego oręża.

Husarze z pod chorągwi królewicza Aleksandra, poparli przodem w sam środek wojsk Kara-Mustafy, i przełamali je zaraz. A tu już słów zaprawdę brak, by opisać, jak się reszta dokonała, bo w tej zamieszce, wrzawie i weselu, onego niesłychanego a gwałtownego tryumfu, człek ani się rozpatrzyć, ani mógł opamiętać. Tośmy tylko przed oczyma mieli, że otrzymujemy zwycięztwo, że się nam nic oprzeć nie potrafi. Król był jakby rozpromieniony, jasny, a dyszał i oczyma stał się cały; ksiądz, podnosząc krzyż w górę, śpiewał już natchniony: „*Te Deum laudamus.*“ Już nas wszystkich jakaś moc nieziemska prawie unosiła.

Nie było czasu dawać i odbierać rozkazów, samo się to już składało do reszty. Przed naszymi husarzami jako wymiótł pierzchało wszystko, a skoro pierwsze chorągwie tureckie tył podały, stał

się niewypowiedziany popłoch i tumult w wojsku nieprzyjacielskiem a trwoga taka, jakby sam Pan z niebios na nich zstąpił. Rzesze te niezliczone waliły się cofały, uciekały, rzucając oręże i krzycząc, potraciwszy głowy i przytomność wszelką. Namioty gruchotano, pole uścielało się trupami, konie po ciałach żywych i zabitych, po targających się i obalonych rumakach, po wszelkim rynsztunku nagromadzonym kupami przeskakiwały. A tu kto chciał mógł sobie uczynić zadosyć, bo ledwo dziesiąty z Turków odwrócił się a odciął, reszta, parta całemi masami, uciekała nie wiedząc dokąd, w najstraszniejszej rozsypce. Tu i ja straciłem wszelaką przytomność; dostawszy począłem siec i rąbać co się nawinęło. Ani wiem, gdziem był i co robił; tyle tylko pamiętam, że mnie Pylades niósł do góry i na dół, takie skoki czyniąc, iż się cudem na kulbace utrzymałem.

Jednym razem czuję, mimo gorąca ciągłego, które jeszcze nie ustawało, w nodze lewej, jakby mi kto ukropu nalał do buta. Zdziwiłem się, co tam piecze; dopieroż spojrzę, a but pełen krwi i leje się już przez wierzch. W tem miejscu płatnął mnie ktoś w udo tak szpetnie, i nie poczułem wcale aż do tej pory...

Więc stanąłem, myśląc co począć. Jeszcze nie osłabłem, ale mi w oczach coś latać poczęło, jakby obłok biały się przesunął. Drganie tylko pod sobą konia czuję i tyle. Potem sunę się z siodła, chwytam i utrzymać się nie mogę — siły brak. Mruknąłem tylko: „W ręcę Twoje, Panie, oddaję ducha mego,“ i przytomność postradałem.

Była już noc, kiedym oczy otworzył i zmysły odzyskał, budząc się jakby ze snu. Zaraz uczułem boleść wielką w udzie, jakby mi kto całą nogę skrępował. Obracam oczy — słabo coś świeci; macam w około—leżę jakby na pościeli czy na wojłokach.

— Jest tam kto? pytam.

Aż głos słyszę Grzesia, służącego.

— Jam tutaj.

— Chwałaż Ci, Panie! A co się tam dzieje?

— Nic, wszystko dobrze, panie, — rzecze. Pan Bóg dał wielkie zwycięztwo, takie, jakiego jeszcze oko ludzkie nie widziało i pamięć najstarszych ludzi nie przypomni. Obozujemy już na tureckich namiotach, a król nasz i pan tak wyrósł przez dzisiejszy dzień, że mu już ludzie ledwie do nogi dostają, a chwalą, całują, a wielbią, a na rękach noszą, boć to wszystko jego jest dzieło.

— Chwała niech będzie Panu, — rzekłem; — a cóż ze mną? czemuż tu leżę? co się z koniem stało?

— Oj, zawołał Grześ,—toście też podobno swemu koniowi życie winni, bo gdyście się z niego zsunęli, wiele krwi utraciwszy, sta-

nął nad wami, rozparłszy się, i nikomu przystąpić nie dawał, dopókiśmy was nie znaleźli; gryzł a rwał się, obraniając, by was nie stratowano. Ano teraz śpijcie spokojnie, jesteście w namiocie i pośród swoich.

Ale mi się na sen wcale nie zbierało, tak ciekäw byłem dalszej historyi bitwy, której części tylko dano mi być świadkiem, i onego wielkiego zwycięztwa, jakiem nas Pan Bóg obdarzył.

Pytam tedy Grzesia, kto mnie tu zanieść kazał i umieścić? Powiada, że sam król miał to starannie, a że się wojsko niezmiernym łupem żywiło, więc król i o tem pamiętał, abym i ja też miał część swoją, i naznaczył mi ten namiot, w którym leżałem, nieopodal od wezyrskiego, około którego sam król nocował, i postawić kazał straż, by się z niego nic nikt tknąć nie ważył, a cokolwiek w nim było, moją stać się miało własnością.

Zdziwiłem się temu jeszcze więcej i rzeknę:

— A cóż tu ma być w tym namiocie? wojłoki i drelichy, lub też jaka stara kulbaka; niestrasznyć łup...

Grześ na to, głową potrząsając, rzecze:

— Spojrzcie-no, co koło was stoi.

Patrzę, skrzynia lekka, taka, jaką na mułach i wielbłądach w podróży przymocowują. Podniósł Grześ trochę wieko: pełna mi się wydała jakichś worów skórzanych i różnego kruszczu. Myślę sobie: „Niech to mnie nie korci."

— Zamknij—rzekłem,—niech to będzie na potem.

Chciałem już sam usnąć, ale drzemać, ani myśleć nie mogłem; coraz to się o cóś pytać chciało. Dokoła gwar, wrzawa obozowa, szmer gdyby w ulu, a z pośrodka niego wyrwie się czasami krzyk, jak pchnięcie noża ostry. Człek się zerwie i ledwie głowa na wezgłowiu, znów coś go budzi.

Była taka chwila, że zdała mi się dniem sądnym. Przymrużyłem oczy. Jednym razem ziemia się wstrzęsła pod nami, namiot, łoże; przez wszystkie szczeliny światło poszło jak we dnie, potem huknęło, jakby się świat cały walił z nami; a tu na raz cisza znowu i ciemność. Nie wiedziałem co myśleć, tylkom sądził, że całe wojsko bez mała wysadzili Turcy miną w powietrze, i drżałem. Grześ padł na ziemię struchlały. Czekamy, nic... cicho. W dobre ćwierć godziny, gdym go chciał wysyłać na wywiady, — podnosi się płotek u namiotu i wychodzi pan Konstanty Dychawka, szlachcic Podlasiak, z pocztu pana Strzyżewskiego, blady jak chusta. Słyszę pyta:

— Tu Mroczek?

— A tu, powiada Grześ — i zaraz: Panie, co się to stało?

— Nic nam się nie stało, krom bardzo wielkiej szkody, a osobliwego widoku, jaki mieli ci, co na to patrzyli. Sam król jegomość, choć opłakał stratę, ale mówił, że pragnął raz w życiu tak straszliwe mieć widowisko. Prochy ciury wypadkiem zażegli, i wyleciało ich w powietrze tyle, że byłoby czem i Wiedeń wysadzić

Zobaczywszy Dychawkę, nie chciałem go już puszczać, żeby mi opowiadał, jekeśmy dokonali wiktoryi. Dopiero od niego nieco, a nazajutrz dowiedziałem się reszty od innych, jak on cud się stał.

Było zaś tak: Począwszy od mojego spadnięcia z konia, kiedy się chorągiew husarska królewicza Aleksandra, wparła w sam środek armii wezyrowskiej i onę złamała, wszyscy Turcy, jakby ich ręka Boża tknęła i popchnęła, rzucili się uciekać, potraciwszy głowy. Naprożno Kara-Mustafa usiłował ich wstrzymać, zaklinając na imię proroka: uchodziło to, gnane miotłą Pańską. Wezyr obrócił się do hana tatarskiego Gieraja, żeby mu ten posiłkował, ale i han swoich nie mógł powściągnąć.

— Znamy — rzekł — tego króla, nie ma z nim innego ratunku, chyba w śpiesznym odwrocie.

Tatarowie też zaraz poszli precz, gdzie jak mogli. Wezyr starał się jeszcze zgromadzić trochę swej jazdy, ale husarya z kopiami łamała tak szyki, iż niepodobna było oporu stawić. Powiadali później jeńcy odbici, co tam byli, iż zapłakawszy i uścisnąwszy synów swych, których z sobą miał, wezyr, nie mogąc na ciężkiego konia całego w żelezie, który dlań przygotowany stał do tryumfu, dosiąść, dopadł prostej szkapy, jaka mu się nawinęła, i umknął z innymi, w jednym kaftanie, jak stał.

Widziałem później tego konia, który się królowi dostał; cały był ze staroświecka okryty blachami żelaznemi, nabijanemi złotem, roboty bardzo misternej; cugle ze sznurów karmazynowych jedwabnych siedzenie także i dywdyk. Ze strzemion złotych, jedno się tylko królowi dostało, które mu znalazłszy, przyniósł Turek jakiś, i to podobno zawieszono jako wotum w Krakowie, przedcudownym Chrystusa Ukrzyżowanego wizerunkiem.

Ponieważ, jak się to wyżej powiedziało, Lotaryńskie Książe, które lewe skrzydło wiodło, bliżej zaszło było na Turków, a ci już złamani uchodzili, przeto i Niemcy wprzódy od nas obóz opanowywać zaczęli. Około wpół do siódmej na półzegarzu król wtargnął samym środkiem, kędy stały wezyrowskie namioty. Zaraz mu tedy, jako zwycięzcy, młody Turek poddał onego konia wezyrowskiego osiodłanego, jakoby nań czekał tylko. Inni przyszli ukazywać, gdzie były główne namioty Kary-Mustafy i wyprawiono jazdę, aby je zajęła, bo się niedarmo wielkich łupów spodziewano, i bał się król, żeby wojsko się dla zdobyczy

nie rozprzęgło, a Turcy na rozproszonych, opamiętawszy się, nie wrócili. Kazano więc stać wszystkim w gotowości do boju i nie tykać niczego. A był ten obóz i samo owo wezyra mieszkanie w nim, istnym cudem.

Jednakże gawiedzi, ciurów i pachołków tegoż wieczoru od łupieży, nie było można wstrzymać. Wszystko stało otworem, a skarby niezmierne były i osobliwości. Jeszcze nasi jak nasi, ale około namiotów egipskiego baszy, niejeden dobrze się słyszę pożywił i obłowił tejże nocy. Opowiadał Dychawka, com też nazajutrz oczyma własnemi oglądał, iż Turcy, widząc się zgubionymi, wielkie na więźniach i kobietach, które z sobą mieli, popełniali okrucieństwa. W namiotach około wezyrowskiego, pełno było niewiast z poucinanemi głowami, poprzebijanemi piersiami, pozabijanych lub poranionych strasznie, które potem leczono, i kilka z nich się przy życiu utrzymało.

Jedno chłopię bardzo śliczne, ale szkaradnie porąbane, przyprowadzono też królowi.

Kiedyśmy już około siódmej obóz zajmowali, do Wiednia jeszcze z dział tureckich strzelano; widać, że mieli rozkazanie takie, aby się trzymali do końca, było tego do dziesiątej w noc. Książe lotaryński przysyłał do króla jegomości, ażeby ztamtąd Turków wyprzeć, ofiarując się dokonać ostatka, ale król dla sławy swej im nie dopuścił. Turcy wkrótce uciekli.

Mówił Dychawka, że król, Bogu podziękowawszy, okrutnie znużony, pod drzewem, które stało niedaleko, położył się na spoczynek, kulbakę, wziąwszy pod głowę, choć miał namioty wygodne, ale znać wojsku chciał dać z siebie przykład. A że już później do Wiednia droga otwarta była, zaraz Staremberg przysłał królowi kolacyę pod drzewo, win, cukrów i innych przekąsek.

Z przekopów reszta Turków w tej ciemnej nocy tak uszła, iż się nikt nie opatrzył pośród powszechnej zamieszki. Znaleziono potem tylko dwudziestu trzech janczarów, w murowanej kamienicy, która była postawiona na wzór Solimanowych oficyn, a ci się długo odstrzeliwali, aż póki na imię królewskie nie zdali się, darowani życiem i mieniem.

Przegadaliśmy z Dychawką duży czasu kawał, blizko do dnia a spisywać trudno wszystkiego, co się tego wieczoru i następnego rana działo, na porzuconem przez Turków obozowisku, które poczynano szarpać, każdy sobie.

Czułem się mimo rany tak nieźle, żem mógł pomyśleć co dalej czynić z sobą. Bo długo tam w tym namiocie pozostać nie było można: król dalej w pogoń za Turkami chciał iść, a na łasce Niemców nawet rannych nie można było zostawić, taka zaraz po tej wiktoryi

okazała się niechęć i zazdrość, żeśmy im z przed nosa zwycięztwo wzięli. One dawniejsze czułości dla nas, grzeczności, zalecania, mało nie tej samej godziny, zmieniły się w zawiść i otwartą nieprzyjaźń. Ile król na tem ucierpiał, nie tu pisać. Następnego ranka (to jest zaraz po zwycięztwie) wybrał się, jak mi powiadano, do Wiednia, aby tam w kościele Panu Bogu złożyć publicznie dzięki, za pobłogosławienie orężowi naszemu. Tu go jeszcze ludność przyjmowała, całując po nogach, cisnąc się, aby oblicze jego oglądać mogła.

Z południa próbowałem się ruszyć; szło ciężko, alem się przekonał, że na wozie za wojskiem pociągnąć będę mógł, bom zostać nie chciał w żadnym razie, czekając w ostatku rozkazania królewskiego.

Tego dnia dopierośmy wszystkie straty nasze obliczyli, ilu nam godnych ludzi nie stało: ten zabity, ów kaleka, inny nie wiedzieć jako i gdzie się podział, tamtego odszukano. I tak cały dzień. Od Turków też przyszły wieści, bo ich ścigał Miączyński, że precz z całą armią poszli, nie pytając reszty. Tu się tedy rozbijały zdania, co król uczynić powinien i co zrobi? ma-li zaraz, ocaliwszy stolicę, do domu powracać, czy iść dalej i bić się jeszcze? Było wielu takich, a wielkich statystów, którzy utrzymywali, że nam, poselstwa naszego dopełniwszy, koniecznie do siebie na swe śmiecisko iść było potrzeba, a kto wie, czy wypadki późniejsze zważywszy, nie było to najlepsze.

Król z rana pojechał oglądać przykopy, miny, obozy, potem na nabożeństwo do miasta, gdzie go gubernator przyjmował, a nad wieczór powrócił, ekspedyując na wsze strony listy i posły, oznajmujące o zwycięztwie, szczególniej do Ojca Świętego do Rzymu i do innych chrześcijańskich monarchów. Tu mnie też to szczęście spotkało, że jadąc do wezyrowskiego namiotu, zsiadłszy z konia, gdy mu ktoś powiedział, że Mroczek leży blizko, wszedł sam osobą swą pod namiot mój, kiedym się wcale tego spodziewać nawet nie mógł. Nie chciałem z razu oczom mym wierzyć, gdy go ujrzałem. Twarz miał pan rozpogodzoną, spokojną, ale znać było, że nie bez troski o jutro.

— Cóż ty myślisz, nieboraku, hę?—rzekł do mnie.—Płatnął cię dobrze poganin. Ale to nic, wyliżesz się mospanie z tego, a będziesz miał pamiątkę poczciwą i przypomnienie miłe, żeś zemną bywał na tych godach.

Podziękowawszy za łaskę królowi, że o mnie mizernym słudze swym raczył nie zapominać, rzekłem, że uczynię, jak mi rozkaże. Król pomyślał nieco.

— Posyłam ja tam—rzekł—do królowej z darami; jedzie kilku. Przyczep się waszmość do nich, bo niemasz tu co robić. Doktora przyślę, żeby cię opatrzył.



Kompania włocławska w pochodzie uroczystym.

Ledwie się dokonała sprawa nasza, a Turcy pierzchnęli, zaraz inny wiatr począł wiać od dworu cesarskiego i Niemców, którzy się z tem nie kryli, że nas krzywem okiem widzieli, zazdrościli i zamiast wdzięczności, zawiścią jakąś tchnęli. Było to tak widoczne i królowi i całemu wojsku, że omylić się było niepodobna. Mnie też tu wśród niegościnnych Niemiaszków długo się nie chciało siedzieć, a jak skoro król odciągnął, kazałem wozy sposobić, a sobie mój węgierski wysłać, tak, abym leżeć mógł, i w Imię Boże, ruszyłem się, już nieco lepszemi drogami, ku Krakowowi.

Pan Mroczek wrócił szczęśliwie do kraju, ożenił się i w późnej starości wnukom swoim o owej przesławnej wyprawie wiedeńskiej opowiadał.



Nowiny z Częstochowy.

Uroczystość Różańca Świętego. W kościele Jasnogórskim zaraz po Nieszporach, w innych świątyniach częstochowskich wieczorem, odprawiane było w miesiącu bieżącym uroczyste nabożeństwo Różańcowe. Miesiąc Październik Kościół święty uświęca najmilszą i najwięcej łask u Matki Bożej jednającą modlitwą—Różańcem świętym. Wszyscy czciciele Maryi, wpisani do Różańca, powinni w tym miesiącu przyjąć Komunię świętą i o ile możności uczestniczyć w wieczornem nabożeństwie różańcowem, polecanem wielokrotnie przez Ojca świętego Leona XIII, aby mogli uzyskać odpust zupełny. Nadto tegoż odpustu dostąpić mogą bracia i siostry Różańca świętego, w pierwszą niedzielę tegoż miesiąca, poświęconą czci Matki Bożej Różańcowej.

Gdy poseł Niebios stanął przed Najświętszą Maryą Panną, by Jej zwiastować wielką tajemnicę, której Bóg miał w Niej dokonać, pozdrowił Ją na wstępie słowy: „*Zdrowaś, Maryo, łaskiś pełna, Pan z Tobą.*“ W tych słowach zawarł on najwspanialszą i najwyższą pochwałę, jaką można na ziemi oddać Matce Bożej. W kilku tych wyrazach Archanioł Boży zaznaczył wysoką godność Maryi, a zarazem Jej cześć i chwałę zupełną.

Dlatego Kościół święty od pierwszych chwil swego istnienia używał tych krótkich, a pełnych treści wyrazów jako modlitwy.

Żadne inne słowa nie mogą być Przeczystej Panience przyjemniejsze, nie mogą silniej wstrząsnąć Jej macierzyńskiem sercem Gdy bowiem mówimy: „Zdrowaś Maryo.“—przypominamy Matce Bożej tę chwilę niewypowiedzianego szczęścia, gdy Ona, pokorna Dziewica, usłyszała od Archanioła wielką nowinę, że zostanie Matką Syna Bo-



Kompania włocławska pod przewodnictwem swych pasterzy.

żego. Stawiamy Jej przed oczy ten wielki w dziejach nieba i ziemi moment, gdy całe niebo w milczeniu oczekiwało Jej przyzwolenia, by spełnić zamierzony od wieków cud.

Zowiemy Ją dalej *„pełną łaski:“* temi słowy ogłaszamy znowu łącznie z niebiosami, że Marya sama jedna ma prawo zwać się *„łaski pełną,“* — bo Ona jedna bez zmazy poczęta, była przez wiele wieków oczekiwaniem narodów, bo Ona jedna już w kołysce miała aniołów za towarzystwo, a w życiu całem zajaśniała wielkiemi, niedoścignionemi cnotami!

Dla tej to przyczyny słynne od kilkuset lat w Kościele nabożeństwo Różańca świętego te słowa anielskie przeniosło po nad inne i zaleca je wiernym powtarzać bez końca, ku czci Maryi... Dla tego wzywa Kościół święty wiernych wszystkich stanów, małych i wielkich, młodych i starych, by złączywszy się pod jednym Rożańcowym sztandarem, głosiły zgodnie chwałę Maryi tysiąckrotnie powtarzając: „Zdrowaś, Maryo, łaskiś pełna, Pan z Tobą!“...

* * *

Swiatowość, nie mogąc zburzyć świątyni Chrystusowej, usiłuje zniszczyć przynajmniej niektóre z jej ozdób. Nie mogąc pojąć głębokiej myśli w Różańcu, gardzi nim, wyśmiewa sposób jego odmawiania.—Pocóż powtarzać bez końca te same słowa? Czyż nie można znaleźć słów rozmaitych, w którychby można swe uczucia i prośby Bogu przedstawić?“ — Tak mówią ludzie światowi.

Na to odpowiedzmy im, że Zbawiciel nasz w Ogrodzie Oliwnym w ciągu trzech godzin śmiertelnej, strasznej męczarni, jedną i tę samą modlitwę zanosił do Ojca Niebieskiego. Izaasz Prorok poucza nas, że Cherubini i Serafini, stojąc przed Obliczem Boga, powtarzają bez końca ku Chwale Jego: „Święty, Święty, Święty!“

Powtarzając w modlitwie te same zdania, składamy dowód pokory, która nieodłącznie towarzyszyć winna dobrej modlitwie. Pycha istotnie nawet w modlitwie szuka blasku fałszywego, t. j. rozmaitości w zdaniach i formułach modlitewnych. Gdy tymczasem, powtarzając ustawicznie te same wyrazy, człowiek staje się podobnym do dziecka, niezdolnego wyrazić swego żądania. Serce Matki zrozumie, odczuje, spełni prośbę nieudolnej dzieciny. Różaniec — to akt pokornej modlitwy.

Przypatrzcie się dziecięciu u stóp matki. Ono nie stara się pięknemi słowy wyrażać swej rodzicielce miłości serca. Ilekroć zechce złożyć jej świeży dowód swego uczucia, złoży gorący pocału-

nek na jej ustach, zawsze ten sam... bez końca, bo jest on dowodem tejże samej, niezmiernej, serdecznej miłości.... Rożaniec — to mowa miłości gorącej do Matki!

Wiele mam potrzeb, — wiele łask pragnę pozyskać od Maryi! Czyż mam je wszystkie wyliczać? Czyż serce macierzyńskie nie odgadnie moich ucisków? Czyż Ona nie zna po szczególe moich smutków i boleści? Ach! wierzę bezgranicznie, że Ona ani jednej potrzeby mej nie zapomni, — oczekiwać będę w spokoju łask, których mi Matka moja nie odmówi, za moją ufność bezgraniczną! — Różaniec— to dowód głębokiej ufności!

Odmawiajmy często Różaniec: on będzie balsamem na nasze rany, on lekarstwem na choroby; on będzie wyrazem wdzięczności w ustach bogatego, wyrazem nędzy, błagającej o litość, w ustach nędzarza:—Różaniec — to tajemniczy wyraz, który zastąpi wszystkie uczucia serca mego, który zaradzi wszystkim potrzebom mej duszy!

*
* *

Światowość powiada, że Różaniec jest modlitwą prostą, lecz czyż ta prostota Różańcowego nabożeństwa nie wystarcza do jego sławy? Czyż ta prostota nie jest dostatecznym powodem, by Różaniec był przez wszystkich szanowany i ze szczególniejszą czcią i miłością odmawiany?— Tak, niech się przywiążą do Różańca biedacy, prostacy, niewykształceni, lecz czystego, nieskazitelnego serca. Prostota nabożeństwa pójdzie w parze z prostotą ich, przed tron Maryi. To nabożeństwo będzie dla nich księgą, wszechstronnie ich pouczającą, gdyż im da jedyną, najważniejszą naukę — jak kochać Boga, i jakie cnoty należy wykonywać, aby Mu się podobać.

Lecz i ci, którym Niebo udzieliło na tym świecie dostatków i ci przecież są powołani do królestwa Chrystusowego. Świat ich chce wyzuć wprawdzie z tego dziedzictwa ojczystego, świat ich odciąga od drogi wiodącej do nieba, zaciemnia ich umysł, osłabia ich wolę. Otóż niechże bogacze podzielą z biedakami dolę w nabożeństwie Różańcowem, niech wspólnie z nimi postępują w pobożności, niech bracia Różańca świętego, uniesieni pokorą, widzą we wszystkich braci i siostry, a wtedy im bogactwa nie przeszkodzą znaleźć się w liczbie wybranych. Chociaż oni posiadają dostatki ziemskie i względny spokój, powinni jednak niemniej jak ubodzy, kochać Różaniec, bo niemniej od nich mają oni potrzeb,—bo ich wrogowie nie mniej są niebezpiecznymi, bo ich słabość nie jest mniejszą od słabości i krewkości biedaków.



Kompania włocławska u stóp Jasnej-Góry.

Lecz czyż tylko prostacy i biedacy odmawiają Różaniec? Nie,— wśród imion bractwa Różańcowego znajdujemy wiele wsławionych cnotami, talentem, i wysoką godnością. Czytamy tam imię Świętego Franciszka Salezego, najdoskonalszego wzoru słodyczy i miłości chrześcijańskiej, imię Bossueta, Skargi, Wójka, najsłynniejszych swego czasu kaznodziei, wielu królów, mocarzów ziemskich, hetmanów i rycerzy, a na końcu imię—dziś dla chwały Boga i Jego kościoła szczęśliwie panującego—Leona XIII-tego.

Idźmyż więc w ślady tych wielkich mężów wszyscy, i wielcy i mali, stańmy się pokornemi dziećmi Maryi, powtarzajmy często najmilszą Jej modlitwę, dopóki w niebieskich podwojach nie powitamy Jej szczerze, z radością wołając: *Zdrowaś, Maryo, łaskiś pełna Pan z Tobą!*

Pobyt na Jasnej Górze Jego Ekscelencyi Księdza Biskupa dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej. Uroczystość odpustu, dzień Narodzenia Najświętszej Maryi Panny na Jasnej Górze, uświetniona została bytnością, J. E. ks. biskupa-sufragana dyecezyi kujawsko-kaliskiej, Henryka Dołęgi Kossowskiego.

Pomimo że pogoda od kilku dni nie sprzyjała, pielgrzymi z najdalszych stron licznie napływali. Przybyło w tym dniu około 400 kompanij, a ogółem 150,000 osób.

W piątek, d. 6 września, pomiędzy zebranym ludem rozeszła się wieść, o spodziewanym przyjeździe Biskupa. Nie zważając na niepogodę, rzesze wiernych z radością na twarzach oczekiwały pod Jasną-Górą a z ust do ust, od gromady do gromady przebiegała tylko pożądana wiadomość: „Biskup przybędzie, Biskup przybędzie!”

Na wieść tę, setki wiernych gromadząc się około konfesyonałów, przygotowywały się pobożnie do godnego przyjęcia Świętego Sakramentu.

Niebawem nadjechał Ksiądz Biskup w otoczeniu licznego duchowieństwa, a powitany uroczyście, przeszedł do głównej świątyni, gdzie udzielił wiernym Błogosławieństwa Apostolskiego.

Przy dźwiękach miejscowej orkiestry i pienia chóru amatorskiego, Jego Ekscelencya przeszedł do Kaplicy Matki Boskiej, gdzie długo modlił się przed odsłoniętym Cudownym Obrazem.

W sobotę niebo okazało się łaskawsze, pogoda zaczęła się przejaśniać. — Od samego rana Dostojny Pasterz udzielał wiernym Sakramentu Bierzmowania, a około stu kapłanów słuchało spowiedzi. — Wieczorem O. Pius Przeździecki odprawił uroczyste Nieszpory, a Jego Ekscelencya Ksiądz Biskup, wraz z licznie zebranym ludem długo, w wieczór, odmawiał Różaniec w Sali Rycerskiej.

Obraz Matki Boskiej na szczycie kaplicy przybrano kwiatami i oświetlono mnóstwem lampionów, a dźwięki orkiestr i śpiew ludu pobożnego długo rozbrzmiewały z wałów klasztornych i u podnóża murów.

Tradycyjne tylko ognie bengalskie i fajerwerki długo się nie ukazywały; nareszcie na usilne starania przychodzi pozwolenie o godzinie dziewiątej, i wnet rozweselają się twarze na blask pierwszych zapalonych ogni.

Na balkonach wielu domów wystawiono wizerunki Matki Boskiej przystrojone kwiatami i lampkami, okna wszystkich niemal chrześcijańskich mieszkań były podwójnie uilluminowane.

W niedzielę wielka uroczystość dnia przejawiała się na każdym kroku: w blasku pogody po dniach słotnych, w odświętnym stroju ludu, w wielkiej liczbie duchowieństwa i pielgrzymów. Wszystko to wzbudzało nastrój uroczysty, wywołujący na usta słowa gorącej modlitwy i dziękczynienia.

Sumę w wielkim kościele celebrował Jego Ekscelencya Ksiądz Biskup, w otoczeniu licznego duchowieństwa. Kazanie do łez wzruszające wygłosił O. Kazimierz Siedlecki, Paulin.

Wieczorem znów do późnej godziny rozlegały się modlitwy, pienia i muzyka z wałów klasztornych.

W poniedziałek Jego Ekscelencya Ksiądz Biskup zwiedził miejscowe Towarzystwo Dobroczynności. Tegoż dnia popołudniu, przeprowadzony licznym orszakiem duchowieństwa i wiernych, odjechał do Mstowa z wizytą pasterską.

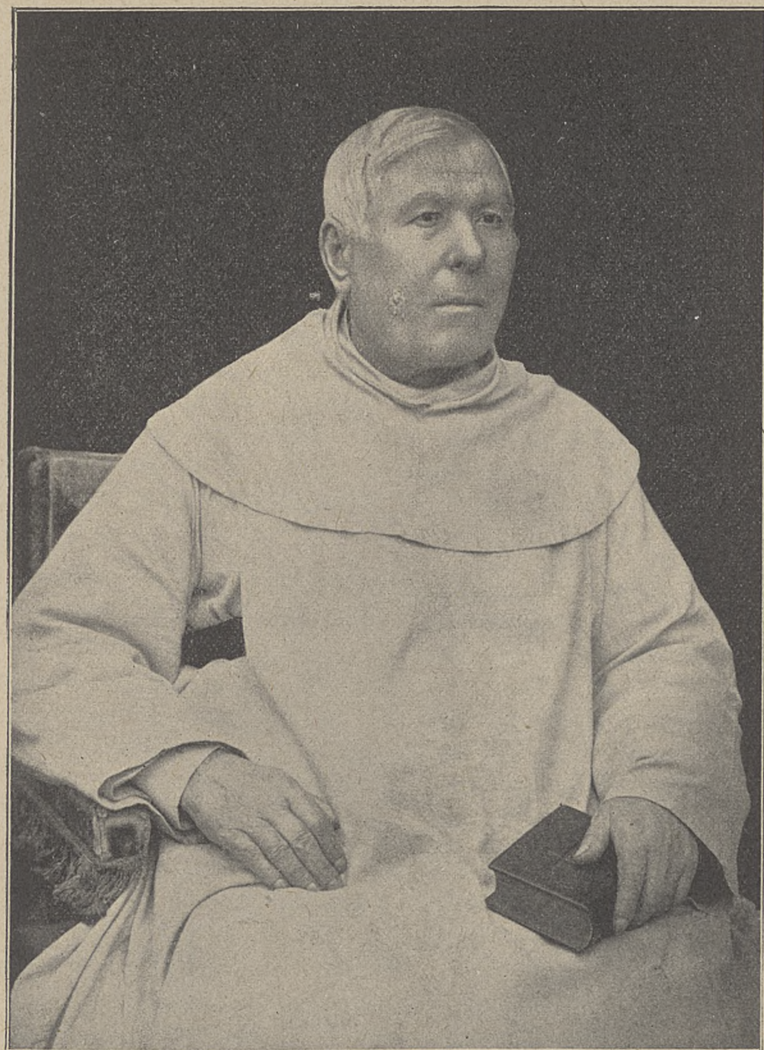
Wizyta Jego Ekselencyi Ks. Biskupa Kossowkiego w Częstochowskiem Towarzystwie Dobroczynności. Młode, lecz zasłużone już gorliwą działalnością swych członków Częstochowskie Towarzystwo Dobroczynności zaszczycone zostało wizytą Jego Ekscelencyi Księdza Biskupa.

Zarząd Towarzystwa Dobroczynności gorąco pragnął prosić Dostojnego Pasterza o zwiedzenie Ochron i pobłogosławienie rozpoczętej pracy. W tym celu, jako delegaci, wyrazili te prośby Jego Ekscelencyi ks. Przeor Rejman, D-r. Sękowski, ks. Helbich i ks. Żak. Ksiądz Biskup chętnie przyrzekł swe odwiedziny na dzień 9 września, a rozpytując o wszystko szczegółowo, okazał żywe zainteresowanie się działalnością Towarzystwa.

Natychmiast zajęto się przybraniem sali i przygotowaniem dzieci do tak ważnej uroczystości, kierunek czego poruczono ks. Żakowi i księdzu Helbichowi.

Salę pięknie, bezinteresownie udekorowali: p. Jastrzębski, znany w mieście ogrodnik, zawsze chętny do przysłużenia się dobrej sprawie, i p. Dąbrowski, znany w mieście tapicer.

W oznaczonym czasie zebrali się członkowie zarządu, członkowie komitetu Kolonij Letnich i Panie Opiekunki dwóch ochron z dziećmi



O. Leon Opoński, Augustyanin.

z ochron i z Kolonij Letnich. Przybywającego Pasterza powitał p. Biernacki, wice-prezes, streszczając w swem przemówieniu przebieg dotychczasowej działalności Towarzystwa. Dostojny Pasterz odpowiedział słowami uznania i pochwały dla Towarzystwa, następnie zajął przygotowane krzesło.

Dziewczęta z Kolonij Letnich wykonały śpiew powitalny na dwa głosy, poczem trzy najmłodsze z nich złożyły u nóg Jego Ekscelencyi bukiet i wypowiedziały zastosowany do tej uroczystości wierszyk.

Najdostojniejszy Pasterz wyraził swoje zadowolenie, przemawiając powtórnie do zarządu i do dzieci. Potem nastąpiło przedstawienie obecnych panów i pań. Następnie Ksiądz Biskup poświęcił obrazki i rozdawał je dzieciom, błogosławiąc je.

Nakoniec w trzeciem przemówieniu wezwał Dostojny Pasterz dzieci do wdzięczności, za roztaczaną nad niemi opiekę; poczem ukląkł i odmówił wspólnie ze wszystkimi „Ojcze Nasz" i „Zdrowaś Maryo" za dobroczyńców i opiekunów. Pobłogosławiwszy zgromadzonych, żegnany serdecznie przez Zarząd i dzieci, opuścił salę.

Przy wyjściu dwie dziewczynki rzucały Mu kwiatki pod nogi.

Mamy nadzieję, że to błogosławieństwo doda otuchy i wytrwałości Zarządowi, a obojętnych, nienależących do Towarzystwa pociągnie ku niemu.

Kompania z Gołonoga. Ks. proboszcz Konarski i wikary ks. Smoliński przyprowadzili liczny zastęp swych parafian.

Pięknie przedstawiała się kompania, a tembardziej interesującą była dla nas, że w życiu tej parafii widzieć się daje silna dążność do coraz lepszego, szlachetniejszego życia. Ks. Smoliński, wielki miłośnik muzyki, założył chór kościelny amatorski, złożony z pracowników fabrycznych. Chór ten podczas pobytu kompanii na Jasnej-Górze strojnie wykonał Msze w kaplicy Matki Boskiej.

Jubileusz O. Leona Opońskiego, Augustyanina. Wysokie stanowiska społeczne olśniewają nas, czyny ludzi możnych lub wpływowych szczególniej zwracają naszą uwagę. Praca zaś cicha — często bywa przemilczaną. A przecież oznaki dostojeństwa nie stanowią jeszcze o zasłudze.

Na cześć rzetelną zasługują dopiero czyny, których pobudką bywa czysta i gorąca miłość Boga i nieodłączna od niej miłość bliźniego, wyrażająca się w pracy dla dobra społecznego i w usiłowaniu sprowadzenia na ziemię ogólnej pomyślności. Tacy mężowie dążą do celu w pokorze i zapomnieniu sobie.

Grosz biednej wdowy więcej u Boga zaważył, niż złoto bogaczy, dlatego że stanowił cały jej majątek.

Z tego też punktu oceniamy działalność Czcigodnego Księdza Opońskiego, który w dniu 22-im września r. b. obchodził jubileusz półwiekowego kapłaństwa. Długi szereg dni żywota zacnego kapłana składa się z ogniw niosących chwałę Bogu, a bliźnim duchowy pożytek.

Urodzony w 1823 r. we wsi Siestrzanki, parafii Burzyn, gub. Łomżyńskiej, wychował się w domu rodziców. W r. 1842 wstąpił do klasztoru OO. Augustyanów w Warszawie, a po ukończeniu nauk teologicznych w 1861 r. przyjął święcenia kapłańskie z rąk Arcybiskupa Fijałkowskiego. Pierwszą swą działalność kapłańską chlubnie zaznaczył w Warszawie, gdzie jako kaznodzieja i spowiednik przebywał do 1857 roku.

Zasługą, pracą i zdolnościami zwrócił na siebie uwagę Zgromadzenia Augustyanów i został wybrany na przeora do Wielunia. Stanowisko to prócz godności, włożyło na jego barki najniespodziewaniej ciężką pracę. W r. 1858 ogromny pożar obrócił całe miasto w perzynę, zgorzały kościoły, a między nimi i księży Augustyanów. Warunki były ciężkie, bo mieszkańcy, wiele utraciwszy w czasie pożaru, nie mogli składać hojnych ofiar, na odbudowanie trzech naraz kościołów.

Czcigodny Przeor O. Leon z energią bierze się do pracy, aby oddaną sobie świątynię wskrzesić z popiołów. Przez dwa lata żebrze osobiście, chodzi od chaty do chaty, od dworu do dworu, sprawia to, że gorącą jego miłość służenia chwale Bożej spotyka nagroda, i znikąd nie odchodzi z próżnemi rękami. Nieraz po trzy do czterech mil odbywa pieszo, po kilka dni żywi się suchym kawałkiem chleba, nieraz na swych barkach z sąsiedniego lasu, dla przykładu poczciwych włościan, sam dźwiga budulec.

W trudach tych, dodaje mu wytrwałości i siły myśl, że dąży ku przymnożeniu chwały Bożej, że wkrótce już w nowej świątyni tysiące głosów wielbić będą Pana nad pany.

Z małemi przerwami pozostawał na stanowisku Przeora do 1888 roku. Odtąd zamieszkał stale na Jasnej-Górze, gdzie jest dobrze znany, jako niezmordowany spowiednik. Nie zważając na podeszły wiek i skołatane zdrowie, codziennie od godziny 6-ej rano zasiada w konfesyonale i gorliwie spełnia służbę Bożą.

Każdy dzień święcąc pracą ku pożytkowi ogółu, dobiegł szczęśliwie radosnej chwili złotego jubileuszu kapłaństwa.

Chwilę tak uroczystą OO. Paulini pragnęli uświetnić, co też w zupełności uskutecznili. Byliśmy świadkami uroczystego obchodu jubileuszu, rozpoczętego wspaniałą ceremonią kościelną i zakończonego serdecznem złożeniem życzeń Czcigodnemu Jubilatowi.

Opis tej pięknej, podniosłej ceremonii podajemy:

O godzinie 10½ zrana, 22 września r. b., procesyonalnie przybyto do mieszkania Jubilata, gdzie O Bonawentura w pięknych i serdecznych słowach przemówił do Niego, podnosząc tak uroczystą chwilę; z głębokiem

wzruszeniem odpowiedział sędziwy starzec. Następnie w orszaku OO. Paulinów i świeckich księży, przy dźwiękach miejscowej orkiestry i śpiewie pobożnym naprzemian, zaprowadzono Jubilata przed wielki ołtarz głównej świątyni. Tutaj O. Bonawentura odprawił rytuałem przepisany ceremoniał, wkładając na głowę Jubilata wieniec rozmarynowy i wręczając mu laskę z krzyżem, przy jednoczesnem odmawianiu stosownych modlitw i udzielaniu błogosławieństwa. Poczem Jubilat odprawił Mszę Ś-tą, czyli tak zwaną sekundycyę, na podobieństwo prymicyj odprawionych przed 50-ciu laty.

Przed Mszą Ś-tą zdjął wieniec z głowy i wkładał go z powrotem w tych chwilach, w których biskup wkłada mitrę na głowę. Na Credo, O. Kazimierz wypowiedział piękne kazanie, zastosowane treścią do uroczystości.

Po skończeniu Mszy Ś-tej i modlitw, odprowadzono Jubilata w takim samym procesyonalnym porządku, do mieszkania.

Ważność jubileuszu kapłańskiego przypada nie tylko na Jubilata, lecz i na cały ogół wierzących. Kapłan, odbierając w takiej chwili wyższe łaski od Boga, sam udziela wiernym błogosławieństwa. Prócz tego społeczeństwo ma sposobność do okazania wdzięczności i złożenia życzeń Jubilatowi.

To też ośmielamy się w imieniu naszych Czytelników, przesłać Czcigodnemu Jubilatowi szczere życzenia, by Bóg Wszechmocny udzielił Mu przez wiele jeszcze lat zdrowia i sił do dalszej cichej, a tak wytrwałej pracy na chwałę Boga i Maryi Przenajświętszej, a bliźnim na pożytek moralny i zbawienie ich dusz.

Kompanie z Włocławka. Pierwsza pielgrzymka z Włocławka na Jasną-Górę przedstawiła się nader wspaniale wśród tegorocznych kompanij. Zostawiła po sobie miłe wspomnienie, które uczestników jej powinno zachęcić do odbywania corocznie podobnych pielgrzymek.— Niewiadomo, czy odległość tego miasta od Częstochowy, czy brak zachęty, czy inne jakiekolwiek trudności były powodem, że dotąd nie urządzano ztamtąd tak licznej i dobrze zorganizowanej kompanii. Dopiero w r. b. członkowie chrześcijańskiego Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego, powzięli myśl urządzenia do Częstochowy zbiorowej pielgrzymki; dla łatwiejszego zaś urzeczywistnienia projektu utworzyli specyalny komitet, na czele którego stanął prezes wspomnianego Towarzystwa p. A. Górski—sędzia gminny. Chętnych do uczestniczenia w pielgrzymce ze wszystkich sfer ludności zebrało się przeszło 2000 osób.

Rankiem 24 sierpnia, po wysłuchaniu wotywy, kompania wyruszyła w drogę z ks. Nowickim na czele. Procesyonalnie, wspaniale

przybyto na dworzec kolejowy, zkąd dwoma pociągami, cała kompania wyjechała do Częstochowy. Zarząd kolei, ze smutkiem trzeba wyznać, nie postarał się o dostarczenie wygód podróżującym, którzy zmuszeni byli odbywać podróż stojąco, ściśnięci przez kilkanaście godzin, a wieczorem nie dawano światła.

O godzinie 10-ej wieczorem pociąg przybył do celu podróży.

Niezwykły widok kompanii włocławskiej zachwycił mieszkańców Częstochowy i wcześniej przybyłych pątników.

Od stacyi kolei żelaznej ta liczna kompania zwolna postępowała ku Jasnej-Górze. Niebo gwiaździste, cisza. Wszyscy ze świecami. Intelligencya przewodniczyła maluczkim—porządek panował wzorowy. Wzruszający był widok dwóch starców z długiemi siwemi brodami, towarzyszących ze świecami dzieweczce, niosącej na poduszce koronę Matki Boskiej. Kilkadziesiąt chorągwi i feretronów potęgowało nastrój uroczysty i majestatyczny. Każdy pątnik ozdobiony był kokardą, z medalikiem jubileuszowym.

Nazajutrz rano powitał pielgrzymów O. Pius piękną i serdeczną przemową, następnie wprowadził ich do świątyni i kaplicy Matki Boskiej.

Tegoż dnia, w niedzielę, o g. 2-ej popołudniu, pielgrzymi odbyli wspaniały pochód jubileuszowy do kościoła Świętej Barbary.—Następnego zaś dnia, w poniedziałek, również uroczyście odwiedzano kościół farny Świętego Zygmunta.

Aby utrwalić pamięć pierwszej tak licznej pielgrzymki, kompania złożyła za pośrednictwem O. Piusa na ołtarzu Matki Boskiej dwa srebrne wotum w kształcie serca, na bogatej poduszce.

We wtorek, o godzinie 5-ej zrana, po Mszy Świętej odprawionej na intencyę kompanii, pielgrzymi, błogosławieni przez O. Piusa Przeździeckiego, wyruszyli w powrotną drogę. — Daj Boże, aby miłość Boga-Rodzicy ożywiała coraz silniej pobożnych mieszkańców Włocławka i pociągnęła ich do oddawania czci uwielbienia Opiekunce i Matce Naszej Przenajświętszej, w prastarej Jej stolicy.

Budowa wieży Jasnogórskiej. Z przyjemnością dzielimy się wiadomością o postępie robót przy odbudowywaniu wieży. Robota wre i kipi. Rusztowanie około wieży rośnie—z każdym dniem się podnosi i już z trzech stron otoczyło wieżę. Pomimo wielu trudności technicznych rusztowanie wzniesiono już po nad piętro zegarowe.

Lecz nie tylko budową wieży zajęci są robotnicy.

Czcigodny Przeor OO. Paulinów Ksiądz Rejman, w niestrudzonej swej pieczołowitości o wygodę i zdrowie mieszkańców klasztoru usilnych starań dołożył, aby zapewnić klasztorowi tak ważny czyn-

nik życia, jakim jest czysta woda. W tym celu zaprowadza się kanalizacya, urządza się nowe ścieki w właściwym kierunku, dla wody deszczowej.

Na baszcie od strony północno-zachodniej urządzone są zbiorniki wody, która ztąd rozchodzi się po całym gmachu; a dla wygody pątników, urządzone będą na dziedzińcu kościelnym i zewnątrz gmachów krany wodociągowe.

Motor naftowy, o sile trzech koni, pompuje wodę ze studni do zbiorników.

Dostojni pielgrzymi na Jasnej-Górze. W dniu 28 września r. b. zatrzymał się w przejeździe z Warszawy do Fryburga, w celu zwiedzenia Jasnej-Góry, Ksiądz dr. Speiser, profesor tamtejszej wszechnicy. Profesor Speiser był protestantem, a przeszedłszy na katolicyzm, wstąpił na wydział teologiczny w Innsbrucku. Podczas kilkoletniego pobytu w Innsbrucku, prof. Speiser zbliżył się z garstką studyujących tam Polaków; z tych to czasów datuje się niezmienna jego sympatya dla naszego kraju. Do powołania go na katedrę profesora prawa kanonicznego na wszechnicy fryburskiej przyczynił się wzgląd, że prof. Speiser kończył przed wstąpieniem na teologię wydział prawny w rodzinnym swym mieście — Bazylei. Prof. Speiser utrzymuje jaknajserdeczniejsze stosunki z miejscową kolonią polską, tak z profesorami, jak i ze studentami. Szanowny profesor, który już kilkakrotnie odwiedził swych dawnych kolegów w Galicyi, świeżo bawił przez parę tygodni w Warszawie.

Przed kilku tygodniami (15 września) złożył hołd Jasnej Górze inny profesor uniwersytetu we Fryburgu, były rektor tegoż, dr. Józef Kowalski, wykładający fizykę i elektrotechnikę. Byli także ks: Cypryan Zavrel, kapelan obłąkanych w Sternberku. Ksiądz Józef Demikis, kandydat Świętej Teologii, proboszcz z Tomska.

Otwarcie Taniej Kuchni. Miło jest widzieć modlitwą chwalących Boga, lecz stokroć milej widzieć czynem wypełniających największe przykazanie o miłości Boga i bliźniego. Kto stara się ulżyć ciężkiej doli bliźniego, ten obrał najpewniejszą drogę, dla wyjednania sobie łaski Bożej. W tym właśnie duchu idąc, Towarzystwo Dobroczynności w Częstochowie nową zasługę położyło, otwierając dnia 12 września Tanią Kuchnię przy ul. Tylnej i Ogrodowej, w domu Kota. Ileż głodnych można tu nakarmić, ilu spragnionych napoić!

Niedostatek wielu ludziom nie pozwala całymi tygodniami spożywać ciepłej strawy, a tutaj za 8 kop. dostać można zdrowy, smaczny i w dostatecznej ilości obiad, można brać pół obiadu po 5 kop., wreszcie pragnąc więcej udogadnić korzystanie z Taniej Kuchni, zarząd sprzedaje bilety abonamentowe jeszcze po niższej cenie.

Kuchnia wydaje obiady 50-ciu dzieciom z Ochrony, mieszczącej się w tym samym domu. Dzieci z Ochrony jadają przed godziną 12, a po 12-ej w południa Kuchnia dostępna jest dla wszystkich.

Kompanie przybyłe na Jasną-Górę.

1. 13 sierpnia, z parafii Chorzencin, powiatu Brzezińskiego—156 osób z przewodnikiem Wojciechem Knap.
2. 13 sierpnia, z parafii Panny Maryi, powiatu Tureckiego—120 osób z Szymonem Grabian.
3. 13 sierpnia, z par. Zduńska-Wola, powiatu sieradzkiego—410 osób.
4. 14 sierpnia, z parafii Działoszyn, powiatu wieluńskiego—280 osób z przewodnikiem Janem Białek.
5. 14 sierpnia, z par. Ozorków, pow. łęczyckiego—100 osób z przewodnikiem Karolem Jagielskim.
6. 14 sierpnia, z par. Żytniów, pow. wieluńskiego—275 osób z przewodnikiem Józefem Derbisem.
7. 14 sierpnia, z par. Ossyaków, pow. wieluńskiego—675 osób z przewodnikiem Michałem Sadowskim.
8. 14 sierpnia, z par. Kwiatkowice, pow. łaskiego—80 osób z Tomaszem Wojciechowskim.
9. 14 sierpnia, z Radoszyc, gub. radomskiej—486 osób z przewodnikiem Wincentym Zielińskim i z muzyką.
10. 14 sierpnia, z par. Świętego Mikołaja w Kaliszu—566 osób, z księdzem Konstantym Księskim.
11. 14 sierpnia, z par. Mierzyce, pow. wieluńskiego—420 osób z księdzem Bolesławem Choroszyńskim.
12. 14 sierpnia, z Bartkowic, powiatu łęczyckiego—110 osób z Józefem Wawrzyniakiem.
13. 15 sierpnia, z par. Biała, pow. częstochowskiego—625 osób.
14. 15 sierpnia, z par. Święta Anna, pow. Opoczyńskiego—160 osób z przewodnikiem Franciszkiem Mękarskim.
15. 15 sierpnia, z par. Brzeznica, pow. noworadomskiego — 56 osób z przewodnikiem Adamem Dudnik.
16. 17 sierpnia, z par. Chechło, pow. Olkuskiego,—561 osób.
17. 17 sierpnia, z par. Danków, pow. częstochowekiego—260 osób z księdzem Michałem Ziarniewiczem.
18. 17 sierpnia, z par. Kotowice, prowincyi Opolskiej, z Prus—125 osób z przewodnikiem Wincentem Mrowiec i z muzyką.
19. 18 sierpnia, z par. Przystajń, pow. częstochowskiego—1212 osób z przewodnikiem Antonim Korsyńskim.
20. 19 sierpnia, z par. Ruda, pow. wieluńskiego — 360 osób, z księdzem Władysławem Gumińskim.

21. 19 sierpnia, z par. Grzymalina Wola, pow. piotrkowskiego—241 osób, z księdzem Tomaszem Sobiepanek i z muzyką.
22. 20 sierpnia, z par. Wajkowiec Kościelnych, pow. będzińskiego — 475 osób, z przewodnikiem i z muzyką.
23. 20 sierpnia, z par. Maluszyn, pow. noworadomskiego — 800 osób z przewodnikiem Franciszkiem Smolińskim.
24. 20 sierpnia, z par. Witów, pow. piotrkowskiego — 400 osób z księdzem Adamem Suchanek.
25. 20 sierpnia, z par. Dzietrzniki, pow. wieluńskiego,—450 osób z księdzem Wacławem Kokowskim.
26. 20 sierpnia, z par. Chabilice, pow. piotrkowskiego,—415 osób, z przewodnikiem Józefem Pająk.
27. 21 sierpnia, z par. Zagórze, pow. będzińskiego— 1605 osób, z przewodnikiem Janem Jędrusikiem.
28. 21 sierpnia, z par. Kuczków, pow. włoszczowskiego, — 210 osób z przewodnikiem Karolem Walentek.
29. 22 sierpnia, z par. Dmenin, pow. noworadomskiego—317 osób.
30. 22 sierpnia, z par. Rzgów, pow. łódzkiego—190 osób.



Nowiny z daleka i z blizka.

Wizyta pasterska w kościele parafialnym w Żórawiu. Przed miesiącem Jego Ekscelencya ksiądz Biskup Kossowski odbył wizytę pasterską w Żórawiu, jednej z wiejskich parafii, odległej o trzy mile od Częstochowy.

Zbyteczną wydaje się rzeczą rozwodzić nad pożytkiem, jaki parafia odnosi z odwiedzin Biskupa, gdyż każdy prawie wie o tem dobrze, że Biskup, przyjeżdżając do parafii zasila wiernych Sakramentem Bierzmowania, dla utwierdzenia ich i wzmocnienia w Wierze Świętej, — udziela apostolskiego błogosławieństwa wiernym i kapłanowi—ogląda szczegółowo kościół, egzaminuje z katechizmu dzieci, — udziela odpowiednich wskazówek i zachęty do dalszej pracy, słowem wnika we wszystkie szczegóły życia parafialnego. Nic więc dziwnego, że przyjazd Biskupa do parafii jest wielkiem świętem, i wszyscy chcieliby jak najuroczyściej przyjąć Następcę Apostołów.

Na kilka dni przed przyjazdem o niczem więcej nie mówiono, tylko o tej ważnej i pożądanej dla każdego wizycie.

Kiedy się zbliżył dzień oznaczony, ruch zapanował wielki. Każdy pragnął czemkolwiek się przysłużyć do upiększenia kościoła. Furmanki od rana zwoziły piasek na wysypanie ścieżek i cmentarza kościelnego, obsadzono kościół świerkami, porządkowano, zamiatano, rozwieszano lampki, nawet dzieci brały czynny udział w tej ogólnej pracy.

Zbliżył się wieczór. Zapalono setki świateł. Przed wielkiemi drzwiami kościoła urządzono wysoki łuk tryumfalny, na którym gorzało paręset lampek. Zapalono tak zwane krzaki Mojżesza, to jest w środku krzewów i olbrzymich starych lip paliły się wysokim płomieniem sztuczne różnokolorowe ognie. Na wieży jaśniał monogram Biskupa, oświetlony z wewnątrz lampami. Lud stał w szeregach z zapalonemi świecami

i każdy z niecierpliwością patrzał w stronę, z której miał przybyć Apostół. Ta masa światła i ludu na tle ciemnego spokojnego wieczora, wyczekująca przyjazdu Biskupa, wyglądała nadzwyczaj wspaniale. Nareszcie zdala zabłysły światełka, zwiastujące, że Biskup jedzie. Odezwały się dzwony,—lud skupił się w szeregi,—światełka zbliżały się szybko, i wkrótce zajechała kareta. Lud padł na kolana, z karety wysiadł Biskup staruszek i przywitał zebranych słowami:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. A lud odpowiedział:

— Na wieki wieków. Amen.

W jednym momencie zajaśniały na okół światła i objęły wieżę, cały kościół i wszystkich zgromadzonych. Wszystko gorzało, jakby ogniem z nieba zesłanym. Chwila to była wspaniała i uroczysta.

Przy biciu dzwonów,—łuny ognia i nieprzeliczonych światłach, ruszyła procesya do kościoła z pieśnią na ustach: „Kto się w opiekę." W kościele Dostojny Pasterz udzielił uroczystego błogosławieństwa i zasiadł na przygotowanym tronie, a proboszcz miejscowy w te przemówił słowa:

— Ekscelencyo! Wybacz pasterzu, że gdy mam do Ciebie przemówić, lęk mną owłada, nie dla tego, że jesteś moim zwierzchnikiem, gdyż nic mi złego nie zrobisz,—przyszedłeś bowiem dobrze czynić; ale olśniewa mnie Twa godność, świętość i rozum. Toć Boga wszyscy kochamy i wiemy, że miłosierdzie Jego granic niema, a z trwogą wspominamy chwilę, kiedy przed Nim stanąć nam przyjdzie. Próżno bym się silił, ażeby wyrazić jakiemi uczuciami jesteśmy przejęci, widząc Waszą Pasterską Mość wśród nas. Odczuwamy łaskę nieba, że kroki Waszej Ekscelencyi w naszą skierowała stronę. Jest to epoka w cichem wiejskiem życiu,—od niej rozpocznie się era, da Bóg w łaski obfita. Śmiało powiedzieć możemy: „Wesoły nam dzień dziś nastał." Tą piękną pieśnią rozbrzmiewają świątynie w czasie Wielkanocy na znak radości, że Pan zmartwychwstał. Nie jedna dusza wśród nas zmartwychwstanie, nie jedna śmierci grzechowej się uchroni, wiele sił zaczerpnie, a wszyscy wzmocnimy się na dalszą drogę życia. Dzięki Ci, Pasterzu, żeś przybył, „Bóg zapłać!"

Następnie ksiądz Proboszcz, kreśląc stan parafii pod względem moralnym, dodał: „Z taką wiarą, jaką oni mają, śmiało w przyszłość patrzeć można. Bóg Cię nam zesłał, Kapłanie Wielki! Błogosław, wzmacniaj, utwierdzaj! Z pokorą schylamy czoła, bo przybywasz jako Wielki Sługa, wielkiego i świętego Kościoła, w którym żyć i umierać pragniemy."

Potem określił stan parafii pod względem materyalnym, przedstawiając, że choć lud ubogi, ale o kościół dbały. I zakończył przemówienie swe temi słowy: „Szczęśliwi jesteśmy, że nam Bóg pozwolił takiego podejmować Gościa. Choć nam opowiesz o prawdach, które znamy: że

Bóg jest święty, mocny, nieśmiertelny,—ale opowiesz z wysokości Swego stanowiska, zaświecisz więc jak słońce i rozgrzejesz serca miłością wiary. Umierający przed paroma dniami mój parafianin nie żałował życia, nad tem jedynie bolał, że nie ujrzy Biskupa. Szczęśliwyś, Pasterzu, że widzisz, jaką czcią kraj cały Cię otacza! Błogosław nam, boś jest Pasterzem kmiotka, pana i kapłana! Szczupłe są ramy, w których zgotowaliśmy Ci przyjęcie. My byśmy radzi nieba Ci przychylić. Wieść, że do nas przybywasz, poruszyła nas wszystkich. Troszczyliśmy się o to, jak my takiego gościa, Księcia Kościoła przyjmiemy? Myśl ta spędzała nam sen z powiek. Ciężar nas przygniótł, ale taki, o którym mówi Chrystus Pan: „Jarzmo moje jest słodkie i ciężar mój lekki.” Ciężar ów podobny do woru chleba, po który schyla się łaknący, lub brzemienia złota, które dźwiga żebrak. Niech Bóg Ci stokrotnie, Pasterzu, nagrodzi, że pomimo dróg ciężkich, wątłego zdrowia i lat sędziwych o nas pamiętałeś; żeś przybył obdarzać nas skarbami, których szafarstwo Kościół Ci powierzył. My pomimo ubóstwa nie wypuścimy Waszej Pasterskiej Mości bez daniny, którą napewno nie wzgardzisz i łaskawie przyjmiesz. A tą daniną jest modlitwa z naszych serc płynąca, by Bóg Cię długo, Pasterzu, na chwałę i chlubę Kościoła na tej ziemi trzymał, byś obfite owoce mógł oglądać Twej pasterskiej pracy!”

Po tem przemówieniu proboszcza Dostojny Pasterz zwrócił się do ludu i odpowiedział w tych mniej więcej słowach:

— „Przybywam tutaj, bracia, aby was utwierdzić w Wierze Świętej, bo Wiara Święta, to największy skarb dla każdego człowieka. Choć człowiek ubogi, ale gdy jest w Wiarę Świętą bogaty, szczęśliwszy jest od tych, którzy wielkie posiedli dostatki ziemskie, bo skarby ziemskie nie dadzą nieba, a Wiara Święta da człowiekowi wiekuistą szczęśliwość“.

W dalszym ciągu dziękował Ekscelencya za uroczyste przyjęcie, które dotyczyć winno nie Jego Osoby, ale biskupiej godności. Zachęcał do wytrwania w wierze, gdyż Pan od nas wszystkich, zażąda wkrótce rachunku z życia. Następnie polecił modlić się za zmarłych, za których też odprawił w dalszym ciągu uroczyste nabożeństwo.

Po uroczystej żałobnej procesyi zaintonował pieśń: „Wszystkie nasze dzienne sprawy,” i wstąpił uroczyście w progi plebanii, przeprowadzony przez duchowieństwo i grono panów, pań i nieprzeliczony tłum wiernych.

Nazajutrz od świtu lud ściągał tłumnie z całej okolicy. Kapłani niezmordowanie pracowali w konfesyonałach, a ksiądz Biskup od god. 8-ej z rana do 4-ej po południu nie opuścił świątyni. Nawet po Mszy Świętej nie wrócił na plebanią, lecz przyjął lekki posiłek w zakrystyi, aby nie tracić czasu przeznaczonego na pełnienie świętego obowiązku. Przeszło półtora tysiąca wiernych przyjęło Sakrament Bierzmowania. Wielką



Ksiądz Prałat Ignacy Dudrewicz,
zasłużony i niestrudzony pracownik przy budowie nowego kościoła na Pradze, w Warszawie.

pociechą dla Najczcigodniejszego Pasterza było widzieć około siebie oprócz kapłanów i grono okolicznego obywatelstwa. Zacni ci panowie prześcigali się w przyjmowaniu udziału w ceremoniach kościelnych, okazując tym sposobem szczere przywiązanie do Kościoła, poszanowanie tradycyi ojców — i dając dobry przykład młodszym swym braciom w Chrystusie, wiernemu ludowi.

Po odpoczynku i odmówieniu pacierzy kapłańskich, wieczorem, Jego Ekscelencya jeszcze raz wstąpił do świątyni, aby oddać pokłon Chrystusowi Panu, utajonemu w Najświętszym Sakramencie; w serdecznych słowach pożegnał wszystkich zgromadzonych i udzieliwszy apostolskiego błogosławieństwa, odjechał do sąsiedniej parafii, żegnany słowami: „Niech Cię Bóg prowadzi, Drogi Pasterzu!”

Konsekracya nowego kościoła na Pradze, w Warszawie. W d. 2-im b. m., obszerna, 30,000 wiernych licząca parafia praska, obchodziła święto konsekracyi nowego kościoła.

Od 7-ej zrana tłumy pobożnych okoliły świątynię; w godzinę potem przybył J. E. ks. biskup sufragan warszawski, K. Ruszkiewicz. Po przyobleczeniu szat pontyfikalnych, odmówieniu modlitw oraz psalmów pokutnych w kaplicy przedpogrzebowej, Jego Dostojność udał się z orszakiem do drzwi głównych świątyni. Podczas procesyi naokoło murów kościelnych, Biskup kropił wodą święconą ściany zewnętrzne. Na trzykrotne uderzenie pastorałem, otwarły się przed Konsekratorem podwoje świątyni, do której wnętrza wszedł wraz z duchowieństwem przy śpiewie hymnu: „Veni Creator.”

Nastąpiło poświęcenie wnętrza kościoła i wielkiego ołtarza, poczem udano się po relikwie Świętego Floryana i Świętej Agnieszki, zostawione w kaplicy przedpogrzebowej wieczorem dnia poprzedniego. Wyniesione na feretronie z ołtarzykiem przez 4-ch wikaryuszów parafii praskiej, ustawiono na wzniesieniu przed wejściem do kościoła i ztąd J. E. biskup Ruszkiewicz przemówił do wiernych, pouczając, jak podniosłą jest ceremonja obecna, jak Święte są te Relikwie.

Po mowie Ks. Biskupa wkroczono procesyonalnie do świątyni.

Sumę celebrował niestrudzony Konsekrator, po Ewangelii na ambonę wszedł ks. rektor Z. Chełmicki, i w pięknej mowie złożył podziękę tym, którzy przyczynili się do wzniesienia tego kościoła, a zwłaszcza czcigodnemu, wytrwałemu proboszczowi, prałatowi ks. Dudrewiczowi.

A niemałych to zachodów i kosztów wymagało wzniesienie tak wspaniałej świątyni, gmach to potężny bowiem; każdego, kto, zmierzając ku Warszawie, przejeżdża przez Pragę, musi uderzyć w oczy widok strzelistych, do nieba pnących się wieżyc, zdaleka, przez mgłę, przebijających się i górujących nad przedmieściem. Wieże te mają 126 łokci wysokości.

Z najwyższej galeryjki wieżowej rozlegać się będą codzień, na „Anioł Pański" hejnały. Pewna osoba dobroczynna ofiarowała fundusz na utrzymanie stałego trębacza.

Gmach świątyni, zbudowany w stylu czysto-gotyckim, ostrołukowym, w kształcie krzyża, należy do najpiękniejszych w całej Europie, wywierając nawet na cudzoziemcach wrażenie wielkie. Zasługa to budowniczego naszego, p. Józefa Dziekońskiego.

Od chwili, gdy ks. prałat Dudrewicz, natchniony myślą zbożną, rozpoczął starania około wzniesienia nowej świątyni, upłynęło już lat 15; od rozpoczęcia budowy przeszło 13. Na setki tysięcy rubli, potrzebne na wybudowanie świątyni, złożyły się przeważnie grosze wdowie parafian, którzy od ust sobie odejmowali dla pomnożenia chwały Bożej. Każdy, co choć cząstkę cegiełki dał do tego gmachu, zasłużył się w obliczu Pana i mógł z dumą spoglądać, w słoneczny dzień konsekracyi, na dzieło, spólnemi wzniesione siłami.

Nie skończyły się jednak jeszcze kłopoty czcigodnego ks. prałata i jego parafian: wewnątrz świątyni brak wielu rzeczy. Nawet wielki ołtarz nie gotowy, dziś stoi tylko „mensa" rzeźbiona w marmurze. W dwóch ołtarzach bocznych, gotyckich, rzeźbionych w drzewie, umieszczono obrazy: Wniebowstąpienie Pańskie i Święty Antoni.

Skoro jednak wiara święta żarzy się żywo w sercach parafian, pewnym być można, że i ofiarność nie zagaśnie nigdy, świadcząc o uczuciach dla Stwórcy.

Budowa nowego kościoła Świętego Stanisława na przedmieściu warszawskiem, Woli, zwolna postępuje: części szczytowe i gzymsy wykończono, a budowę wieży głównej doprowadzono do wysokości 70 łokci od poziomu ziemi. Jest nadzieja, że przed nadejściem zimy, wiązania będą pokryte dachem i część murowana wieży wykończona. Komitet budowy świątyni zaznacza, że jeżeli wpływ ofiar dobrowolnych i składek parafian zawiedzie oczekiwania, dalsza budowa kościoła wolskiego będzie na czas jakiś wstrzymana. Nie daj, Boże, takiej ostateczności! Niech wzór parafian Pragi stanie się podnietą dla mieszkańców Woli.

Kościół Zbawiciela w Warszawie. Do obowiązku składania ofiar na rzecz budowy świątyni Zbawiciela powinni się poczuwać wszyscy katolicy, gdziekolwiek bądź zamieszkali, bowiem kościół wznosi się na podziękę Chrystusowi, za dobrodziejstwa, jakie Jego święta nauka daje ludzkości od 19-tu wieków. Łaską Chrystusową wszyscy żyjemy, w Jego ręku losy nasze obecne i przyszłe życie.

Przez czas jakiś dawały się słyszeć głosy niezadowolenia z powodu, że sędziowie konkursowi zalecili do wykonania plan, nieprzypadający do smaku ogółowi. Większość oświadczała się za planem, odznaczonym



Nowy kościół na Pradze, w Warszawie.

nagrodą pierwszą, podług którego świątynia miała posiadać wieże gotyckie. Obecnie zadowolono wszystkich, plan przerobiony jest w myśl żądań i upodobań ogółu: świątynia będzie się odznaczała strzelistością, lekkością i postacią swojską, tak miłą dla oka naszego.

— Niech więc — jak pisze ks. J. B. Szafnicki w „Biesiadzie Literackiej" — bogaty i ubogi, pan i sługa, uczony i prostaczek; niech dziecię, młodzieniec, dziewica i starzec; niech każdy, kto wierzy, że Chrystusowi Panu zawdzięcza niebo, prawdę i łaskę, pośpieszy z ofiarą, wedle możności, na wzniesienie świątyni Zbawiciela w Warszawie." Redakcya nasza pośredniczy w zbieraniu na ten cel ofiar.

Konsekracya nowego kościoła w Tuliszkowie połączona była z obchodem jubileuszu 40-letniej pracy kapłańskiej proboszcza tamecznego, ks. M. Ostrzyckiego. Uroczystości te uświetnił swą obecnością J. E. Biskup-sufragan kujawsko-kaliski, ks. Kossowski

Wizyty arcypasterskie. J. E. Biskup płocki, ks. Jerzy hr. Szembek odwiedził słynącą łaskami świątynię w Skępem, następnie, w ciągu miesiąca, wizytował parafie dekanatu lipnowskiego.

J. E. Biskup łucko-żytomierski, ks. Karol Niedziałkowski, podczas objazdu dyecezyi, gościł przez 3 dni w Kijowie; oglądał, między innemi, roboty około kościoła Świętego Mikołaja. Najdostojniejszego Pasterza podejmowali nader wspaniale kapłani i dyecezyanie.

Przeniesienie zwłok ś. p. Metropolity Dmochowskiego. W Petersburgu odbyło się uroczyste przeniesienie zwłok ś. p. arcybiskupa Kazimierza Dmochowskiego na wyborski cmentarz katolicki. Spoczywały one na ogólnym cmentarzu od r. 1851, ponieważ dawniej oddzielnego cmentarza katolickiego nie było. Przeniesienie zwłok nastąpiło wskutek starań obecnego Arcybiskupa metropolity, J. E. ks. B. Kłopotowskiego.

Nad grobem, na cmentarzu smoleńskim, zebrało się 60 kapłanów z Najdostojniejszym Arcypasterzem na czele i około 20,000 wiernych. Wydobytą z grobu trumnę (przegniłą) włożono do metalowej, a następnie dębowej. Trumnę ponieśli pobożni na swoich barkach do odległego cmentarza wyborskiego. Nazajutrz, po odprawieniu nabożeństwa żałobnego przez J. E. Arcybiskupa ks. Kłopotowskiego, zwłoki ś. p. Metropolity Dmochowskiego złożono przy kościele w grobie, na którym stanie odnowiony pomnik, przewieziony z cmentarza smoleńskiego.

Nowe świątynie. W Chojnach, pod Łodzią, ks. prałat Zygmunt hr. Łubieński dopełnił poświęcenia placu pod budowę nowego kościoła Świętego Wojciecha.

Ks. proboszcz Woronko, z wiarą w opiekę Bożą i pomoc ludzi dobrej woli, rozpocznie budowę nowego kościoła w Sokołach, w gub. łomżyńskiej.

W Dąbrowie, w dyecezyi wileńskiej, wskutek gorliwych starań proboszcza, ks. Józefa Fordona, stanął piękny kościół z białej cegły, w formie krzyża, pod wezwaniem Świętych: Antoniego i Stanisława Biskupa. Plan dał budowniczy wileński, p. Chróścicki. Koszta budowy obliczono na 50,000 rbl.. Stary kościół drewniany, zbudowany w r. 1596, był za szczupły dla 12,000 parafian. Posiada on w wielkim ołtarzu cenne dzieło sztuki — figurę Chrystusa na krzyżu, naturalnej wielkości.

Odnawianie świątyń. Ks. Gołaszewski, proboszcz, zaczął gruntownie odnawiać kościół w Jabłoni, w dekanacie mozowieckim.—W Janiszkach, w gub. kowieńskiej, przez zabiegi ks. proboszcza Ludwika Szewczunasa udało się rozszerzyć świątynię, zbudowaną, przed 200-tu z górą laty, przez króla Jana III Sobieskiego. Obecnie świątynia może pomieścić około 7,000 wiernych.

Nowy gmach dla seminaryum rzymsko-katolickiego. Przez czas dłuższy seminaryum katolickie w Petersburgu mieściło się w gmachu rządowym, który nie zaspakajał potrzeb instytutu naukowego, mającego mieścić w sobie w ciągu całego roku do stu kleryków. Brak było tam sal odpowiednich na wykłady oraz pomieszczenia dla profesorów i kaplicy. Oprócz tego, nie było ogrodu spacerowego, choćby najmniejszego, w którymby alumni mogli zaczerpnąć świeżego powietrza w ciągu dnia. Zwyczaj jest w stolicy, że każdy zakład naukowy posiada mniejszy lub większy ogród, gdyż tylko raz w tygodniu mogą uczniowie, pod opieką profesora zakładu, używać przechadzki po ulicach miasta.

Za staraniem b. metropolity, ks. Arcybiskupa Kozłowskiego, władze rządowe zdecydowały się wznieść nowy gmach dla seminaryum, i oddzielić połowę ogrodu, należącego dotąd do Kollegium katolickiego. Plac pod budowę seminaryum wybrano odpowiedni wymaganiu; dotyka on kościoła katedralnego, do którego alumni obowiązani są w każde święto i niedzielę przybywać. Z czasem jednak uznano za najwygodniejsze przebudować gmach Kollegium Katolickiego i przeznaczyć go na cel powyższy.

W ciągu dwuch lat dokonano przebudowy wygodnego i odpowiednie go gmachu. Dnia 22 września odbyło się poświęcenie tego nowego seminaryum. Aktu tego dokonał metropolita, ks. Bolesław Kłopotowski, przy udziale duchowieństwa, licznie zgromadzonego i wielu osób wysokie stanowiska zajmujących.

Nowy kościół. Poseł francuski wystarał się obecnie u władz o pozwolenie na budowę nowego kościoła w Petersburgu dla katolików. Dwa kościoły t. j. Świętej Katarzyny, przeznaczony dla różnych narodowości, i Świętego Stanisława dla Polaków i Litwinów,—nie są w stanie

pomieścić wszystkich przybywających na nabożeństwo parafian, a duchowieństwo nie może zaspokoić wszystkich potrzeb. Nowy kościół będzie przeto prawdziwem dobrodziejstwem dla katolików stolicy. Na koszta nowego kościoła pozwolono urządzić fantową loteryę, z której dochód wyniesie około 100 tysięcy, a może i więcej. Cała świątynia ma kosztować około dwustu tysięcy rubli.

Otwarcie roku szkolnego. W Akademii duchownej, w Petersburgu d. 18 września odbył się akt otwarcia roku szkolnego. Po Mszy Świętej, na której byli obecni wszyscy alumni i profesorowie, przybył na salę Jego Ekscelencya ksiądz Arcybiskup. W obecności Jego Ekscelencyi professorów i alumnów pierwszą lekcyę wygłosił ks. Stobnicki. Następnie wszyscy udali się do kaplicy akademickiej, gdzie Arcypasterz, ubrany w szaty biskupie, zaintonował hymn do Ducha Świętego „Veni Creator”— a następnie miał dłuższą przemowę do alumnów i udzielił obecnym pasterskiego błogosławieństwa.

Przyjęcie wiary katolickiej przez księżniczkę Heską. Niedawno przyjęła wiarę katolicką, w wielkiej tajemnicy, księżna Heska, z domu pruska księżniczka Anna, teściowa najmłodszej siostry cesarza Wilhelma. Matką chrzestną była Marya księżna Szenburg-Birstein. Przygotowywali księżnę profesorowie nauk duchownych. Oczywiście, że protestanci są niezmiernie oburzeni, bo nawrócona księżna jest spokrewniona z dwoma rodami niemieckiemi, pruskim i heskim, które przyczyniły się do rozkrzewienia błędów Lutra. Najznakomitszy potomek tych rodów, Filip Wspaniałomyślny, był najżarliwszym obrońcą protestantów. Księżna Anna urodziła się w r. 1836, za księcia Fryderyka Heskiego wyszła w r. 1853. Z małżeństwa tego było pięcioro dzieci; z tych jeden syn utonął w czasie podróży morskiej, a trzeci z kolei poślubił siostrę najmłodszą cesarza Wilhelma, księżniczkę Małgorzatę.

Ruch katolicki w Szwajcaryi. Wiadomości ogłoszone przez Związek Katolików szwajcarskich, a dotyczące wzrostu wiary katolickiej w Szwajcaryi, nic nie pozostawiają do życzenia. Dowodzą one, że coraz więcej buduje się kościołów katolickich w tym kraju górzystym; obecnie jest zamiar wzniesienia trzeciego kościoła w Zurychu, pod wezwaniem Świętego Antoniego. Gniewa to, niepokoi protestantów ale nic poradzić nie mogą. Chwytają się rozmaitych sztuczek, lecz bezskutecznie. Katolicyzm stoi w Szwajcaryi na trwałych podstawach, czego dowodem najlepszym jest nabożeństwo w Zug, odprawione ku czci Świętego Alfonsa Liguorego, podczas którego to nabożeństwa tysiąc sto osób do Stołu Pańskiego przystąpiło.

Zjazd katolików niemieckich w Osnabrüku. Na zjeździe katolików niemieckich w Osnabrüku roztrząsano wiele spraw, dotyczących Kościoła

katolickiego w Niemczech, radzono o katolikach w innych częściach świata zamieszkałych, upominano się o nabożeństwo włoskie dla robotników włoskich: ale nikt się nie upomniał o katolików polskich, krzywdzonych w Niemczech. A spodziewano się, że właśnie uczestnicy zjazdu tę niezmiernie ważną sprawę poruszą. Również w Osnabrüku odbył się walny wiec członków Towarzystwa Świętego Rafała, które opiekuje się wychodzącemi za morze katolikami. Podążyło na ten wiec 250 osób, a pomiędzy niemi znajdował się ks. Kisielewicz z Hamburga, miasta nadmorskiego, który się opiekuje głównie wychodźcami Polakami. Od tego kapłana dowiedziano się, że w hamburskich pomieszczeniach dla wychodźców odprawia się cztery razy w tygodniu Msza Święta dla Polaków i że z 16 tysięcy i 933 wychodźców, którzy w tych pomieszczeniach schronisko znaleźli, w pierwszem półroczu roku bieżącego, 15 tysięcy uczęszczało na nabożeństwo, a blizko 2 tysiące przystępowało do Komunii Świętej.

Z Holandyi. Dobre nadchodzą wieści z protestanckiej Holandyi: religia katolicka krzewi się tam pomyślnie. Przed stu laty było w Holandyi tylko 350 parafii i 400 kapłanów katolickich; obecnie liczba parafii wzrosła do tysiąca piętnastu, a kapłanów katolickich do dwóch tysięcy i 230. Od r. 1853 wybudowano 300 kościołów i 150 kaplic, na co wydano 200 milionów franków (frank znaczy 25 kopiejek). Również dowiadujemy się, że w holenderskiem mieście Venlov odbył się wiec katolików, pod kierownictwem biskupa Drechmanno z Roermoncls. Katolicy holenderszy mieli zamiar już dawno zwołać ogólny wiec, z całego kraju, lecz jeszcze pora do tego nie nadeszła; obecnie odbywają się wiece zwoływane z pojedyńczych prowincyi, które do ogólnego zjazdu grunt przygotować mają.

Świątynia w Neapolu. W pięknem mieście włoskiem Neapolu, leżącem nad morzem, zakonnicy Salezyanie, budują obecnie wielki kościół, pod wezwaniem Serca Pana Jezusa. Świątynia stanie na przedmieściu Vornero, pieniądze na budowę ofiarowała baronowa de Rosis. Przy kościele stanie obszerne schronisko dla opuszczonych chłopców (bo takimi chłopcami opiekują się Salezyanie). Ci zakonnicy w Neapolu walczyć mają z protestantami, którzy tamtejszy lud biedny i ciemny gorszą, ofiarując im w zamian za przyjęcie błędów protestanckich pieniądze.

Wieczerza Pańska. Przed czterystu laty, słynny na cały świat malarz włoski Leonard Vinci, namalował w refektarzu klasztoru Najświętszej Panny Maryi Łaskawej, pod miastem Medyolanem, obraz przedstawiający Wieczerzę Pańską. Obraz ten wzbudził zachwyt, bo był arcydziełem. Ale malarz namalował go olejnemi farbami wprost na wilgotnej ścianie, więc chociaż całość w pierwszej chwili posiadała barwy niezwykłe świeże i silne, to wykonanie sprawiło, że obraz, już w kilkanaście lat po wykona-

niu, został zniszczony, bo farby olejne nie trzymają się dobrze, gdy je wprost na ścianę nałożyć. Starano się naprawić, co sam mistrz zepsuł— odnawiano malowidło, starano się wszelkiemi środkami zapobiedz ruinie—lecz daremnie: obecnie arcydziełu grozi ostateczna zagłada. Postanowiono wszakże jeszcze spróbować środków ratunkowych. W tym celu zawiązała się komisya, z malarzy i uczonych, którzy prób dokonywają. Profesor Cavenaghi, jeden z najdoświadczeńszych odnawiaczy dzieł sztuki, probuje, czy cząstki obrazu, które się oderwały od ściany i odpadają, jak łuski, nie dadzą się napowrót do ściany przytwierdzić. Inny uczony bada, czyby z refektarza nie można wilgoci usunąć. Może im się to uda, bo oświata coraz wyżej sięga, ludzie coraz dokonywają nowych wynalazków. Z arcydziełem malarstwa będzie twardy orzech do zgryzienia, lecz warto się pomozolić nad malowidłem, którem się zachwycano i które do krzewienia chwały Bożej się przyczyniało.

Okrucieństwo Turków. Chrześcijanie w Turcyi, zwłaszcza Armeńczycy, doznają wciąż prześladowania. Niedawno uzbrojeni Turcy napadli na nich, 14 zabili, a wieś ich z dymem puścili, wkrótce potem zajęli wieś Cresowice, wypędzili chrześcijan, którzy musieli szukać schronienia w górach. Armeńczycy coraz chętniej się garną do wiary katolickiej, ale misye katolickie w Armenii mają zbyt szczupłe fundusze, żeby skutecznie krzewić wiarę świętą. W mieście Pajas ludność domaga się kapłana, bo 150 rodzin pragnie połączyć się z naszym kościołem. W Tarsie chęć do nawrócenia jeszcze wyraźniej się objawia. W Adanu katedra katolicka, chociaż posiada wielkie rozmiary, w niedziele i święta zaledwie może pomieścić pobożnych. Wielkie zasługi w dziele nawracania Armeńczyków położył Ojciec Defrance, Dominikanin.

Nasi rodacy za oceanem będą radzili o swoich kłopotach W amerykańskiem mieście Buffalo, w tym właśnie czasie ma się odbyć zgromadzenie walne, które będzie rozważało najpilniejsze potrzeby Polaków, osiadłych w Ameryce. Wszystkie stowarzyszenia polskie wyślą na ten zjazd pełnomocników, a to w taki sposób: każde stowarzyszenie na 100 członków wyśle jednego; parafie, które nie posiadają tysiąca dusz, mają prawo również wysłać jednego pełnomocnika; stowarzyszenia lub kółka, posiadające mniej niż 100 członków, połączą się i wybiorą wspólnie pełnomocnika. Oprócz tego w zjeździe uczestniczyć będą pełnomocnicy gazet polskich, szkół, seminaryum z Detroit i kolegia z Chicago oraz Nilwauke. Przygotowania już się od kilku tygodni rozpoczęły; wszędzie gdzie tylko mieszkają Polacy słychać tylko o tem ważnem zgromadzeniu. Jakie sprawy mają być roztrząsane, o tem wiadomo już dzisiaj. Więc najprzód rozważany będzie wniosek, żeby rząd amerykański nadał księżom poskiem takie same prawa, jakie posiada duchowieństwo innych narodowości. Dalej

będą rozporządzenia, obmyślone przez niektórych biskupów, mające na celu tego dopiąć, żeby Polacy amerykańscy trwali w wierze katolickiej, nie zapominali o swoim kraju i swego języka. Z kolei radzić będą zebrani jakie zmiany przeprowadzić w szkołach amerykańskich Polaków, jak podnieść handel i przemysł polski w Ameryce, jak pomagać kolonistom. Wreszcie zebrani uchwalą i poślą rządowi amerykańskiemu przyrzeczenie że będą dla tego rządu wierni i przywiązani, ale że przytem pragną zachować swoją wiarę, swój obyczaj, swoją mowę.

Uroczystość w Australii. Śmiertelne szczątki pierwszych apostołów wiary katolickiej w Australii, a mianowicie: pierwszego arcybiskupa Sydney, ks. Poldinga, zmarłego 16-go marca 1877.go roku, ks. Terry, zwanego Ojcem ubogich, zmarłego 25-go maja 1882 roku oraz księży: M'Encroe i Daniela Powera, — spoczywały dotychczas w nader skromnym grobie. Otóż katolicy, zamieszkali w mieście Sydney, zapragnęli oddać im cześć należną i w tym celu udali się do Jego Eminencyi kardynała Moron, arcybiskupa Sypneyu. Jego Eminencya rozporządził, żeby zwłoki rzeczonych apostołów przenieść do nowej Katedry Sydneyu w roku ubiegłym pokonsekrowanej. Przeniesienie odbyło się uroczyście, zdromadziło do 80 tysięcy wiernych, którzy ustawiali się dwoma rzędami w ulicach stolicy, przez które miał przeciągać orszak. Wszyscy uczestnicy uroczystości, mężczyźni, kobiety i dzieci mieli na piersiach małe bukieciki, przepasane zieloną wstążką. Zwłoki wieziono na wspaniałym karawanie w bogatej trumnie. Za karawanem postępowali krewniacy zmarłych. Przy nich szedł australijski minister robót publicznych, katolik, który przedstawiał rząd Australii. W katedrze odprawiono nabożeństwo żałobne, podczas którego przemawiał sam kardynał. Wspomniał on, że gdy do Sydney przybyli ci pierwsi misyonarze, wtedy było prześladowanie prawdziwej wiary, że życiu ich groziło niebezpieczeństwo. Nie zlękli się jednak tego i obecnie o prześladowaniu wiary katolickiej mowy nawet niema.

Zbawienie dla Indyan. Wiara katolicka krzewi się pomyślnie wśród Indyan, zamieszkujących kraje Ameryki północnej. Bałwochwalcy chętnie się garną do misyonarzy katolickich, słuchają ich, patrzą na nich z ufnością. Misyonarze protestanccy nie mogą się tem pochwalić, a nawet jeden z nich opuścił Kanadę, gdyż—jak sam mówił—Indyanie tamtejsi tylko Misyonarzom katolickim dają się powodować. Jest to prawdą niezaprzeczalną. Misyonarze katoliccy dokonywają coraz liczniejszych nawróceń. Tego roku naprzykład, dzień Ś-go Józefa i Wielka sobota były tryumfem dla naszych misyonarzy, bowiem ochrzcili wielu bałwochwalców. Ale też tych apostołów nowoczesnych dotknęła wielka strata: wielki pożar zniszczył wszystkie budynki misyi, krzewiącej światło wiary na obszarze, zamieszkanym przez szczep indyjski Oktabonia w Stanach Zjednoczonych. Wszystko: kościół stary, katedrę, szkołę, szpital, zostający pod opieką

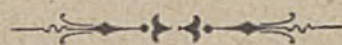
Sióstr miłosierdzia, schronisko dla biednych, groźny żywioł w popielisko obrócił, pomimo usilnego ratunku. Ogromna to troska—boć pomyśleć tylko, ile to lat musieli zabiegać misyonarze, żeby to wszystko wznieść i urządzić! Misyonarze jednak z pokorą przyjęli ten dopust Boży, jako próbę wytrwałości swojej i raźno zabierają się do odbudowania misyi, licząc na ofiarność braci katolików, która dla chwały Bożej i zbawienia bliźnich pomocy skąpić nie będzie.

Misyonarka Polska. W mieście chińskiem Kian-King pracuje Siostra Miłosierdzia Ludwika Moniak, krakowianka, która wzruszająco o pracy swej opowiada: ,,Dwa lata mija—pisze w liście—od czasu, jak opuściłam Kraków, aby się poświęcić biedniejszej braci naszej, bo nieznającej Boga na rozległej ziemi chińskiej. Oto mały zarys pracy naszej w Kin-Kiang, w szpitalu Świętego Wincentego, gdzie jestem umieszczona.

Przyjmujemy tu mnóstwo chorych, którzy pouczeni w główniejszych zasadach wiary, ochrzczeni w godzinę śmierci otrzymują cząstkę obiecaną ubogim, to jest Niebo. Niedawno pewien mandaryn (urzędnik chiński), dotknięty straszną chorobą raka, przybył, aby umrzeć chrześcijaninem. W kraju swoim znał chrześcijan i miał niejakie pojęcia o zasadach wiary, a prawdziwie wszystkie okoliczności tak się złożyły iż wierzemy, że go Opatrzność tu przyprowadziła, bo umarł bez cierpień. Często też wychodzimy w okolice, lub w małej łodzi, którą unoszą bałwany ogromnej rzeki niebieskiej, odwiedzamy ubogich chorych, rozdajemy lekarstwa. Ale główny cel naszych wycieczek, to pomnożyć liczbę Aniołów w niebie, których nam ich Święci Stróżowie w znacznej liczbie co rok zsyłają. Głównie tu moje zajęcie to dzieci. Dzieci katechumeni (katechumen znaczy – przygotowujący się do Chrztu Świętego). których liczba w roku dochodzi do 80 chłopców, są to dzieci katechumenów, albo nowo ochrzczonych chrześcijan. Przepędzają tu co rok po kilka miesięcy, aby się przygotować do chrztu Świętego, do pierwszej Komunii Świętej, lub utwierdzić w zasadach życia chrześcijańskiego, co nie jest łatwem dla dzieci wzrosłych. Moja radość i pociecha—wszczepiać wiarę w młodzieńcze serca. Nie można opisać wrażenia, jakiego się doznaje, widząc tę dziatwę modlącą się ze złożonemi rączętami, chwalącą prawdziwego Boga, którego jeszcze nie znają, ale już go kochać zaczęły. W tym już roku, w miesiącu styczniu, 22 małych katechumenów otrzymało Chrzest Święty, kilku przypuszczono do pierwszej Komunii, inni jeszcze w bieżącym roku tego samego szczęścia dostąpią. Coś powiem o chronisku naszych ukochanych starców, którzy w liczbie 65 zdają się błagać:—Dajcie nam przytułek i pożywienie! Niewiele nam dni zostaje, a pójdziemy przed Tron Najwyższego błagać o błogosławieństwo i łaski dla tych, którzy nas wyrwali z nędzy doczesnej a bardziej jeszcze z nędzy moralnej, dali

poznać prawdziwego Boga, nauczyli Go kochać i przynajmniej ostatki życia służbie Jego poświęcić. Oto do jakich pięknych dzieł Bóg dobry mnie powołał! Prawdziwie, że serce chrześcijanki, serce Siostry Miłosierdzia, dziecka Świętego Wincentego, Ojca ubogich i nędzarzy, drży niekiedy, nieposiada się z radości i wzruszenia. Wiele dobrego zrobić można, to prawda, ale oto i odwrotna strona medalu. Wszystkie te dzieła, oprócz pracy, zaparcia się, poświęcenia, wymagają także pieniędzy, a tych tak bardzo brak. Ubodzy nasi niewiele potrzebują: trochę ryżu z lichą jarzyną, to całe pożywienie, a mieszkania ich są nędzniejsze nad liche baraki. Moi mali katechumeni śpią na strychu pokotem na ziemi, gdzie przez szczeliny wiatr zawiewa i deszcz zacieka. Nieraz w nocy muszą zmieniać posłanie, przynosić takie i naczynia do zbierania wody. A nasza misya tak uboga...—Kasa nasza—to Opatrzność Boża. Licząc na nią gromadzi się ubogich, bo nam dusz potrzeba.“ List Wielkiej Siostry buduje i czcią napełnia dla apostołów, którzy udali się za morze, pomiędzy pogan, narażają się na nędzę i prześladowanie, często na męki i śmierć, byleby owczarnię Zbawiciela pomnożyć. A nagroda takich bohaterów nie na ziemi, lecz tam, gdzie Zbawiciel na nich czeka.

Zmarli kapłani ś. p. ks. Karoli Lisowski, wikaryusz kościoła po-wizytkowskiego w Lublinie, kochany i czczony przez wiernych. Żył lat 62. — Ks. kanonik *Ignacy Medyński*, dziekan i proboszcz łęczycki; na kilka tygodni przed jego zgonem łęczycanie, wraz z 40-tu przybyłymi z okolic kapłanami, święcili uroczyście jubileusz 25-letni dziekaństwa, a 45-letni kapłaństwa ks. Medyńskiego. Nikt nie przeczuwał wtedy, że życzenia: „Ad multos annos!“ nie miały się ziścić, że dni ukochanego proboszcza były już policzone. Tem boleśniejszą stała się strata, tem goręcej opłakiwano zgon dbałego o dobro swych parafian, wielkiej dobroci pasterza. — *Ks. Ludwik Franciszek Zajtz*, proboszcz tomaszowski, b. rektor kościoła powązkowskiego w Warszawie. On to przyczynił się do ukończenia budowy kościoła świętego Karola na Powązkach. I w Warszawie, i w Tomaszowie Rawskim opłakiwano szczerze zgon zacnego kapłana. *Ks. August Gajkowski*, proboszcz parafii Tykadłów, jeden z najstarszych kapłanów w dyecezyi kujawsko—kaliskiej. Ur. w r. 1812-m 50 letni jubileusz kapłaństwa obchodził już przed 15-tu laty. Pomimo sędziwego wieku, zarządził parafią dzielnie i ku zadowoleniu wszystkich. Cierpiał krótko. *Ks. Ferdynand Ussel*, proboszcz oniksztyńksi, w dekanacie uciańskim. Odznaczał się darem katechizowania, każdym groszem dzielił się z ubogą młodzieżą szkolną, którą kształcił swym kosztem. Za jego to staraniem stanął nowy, okazały kościół.—*Ks. Władysław Kociejowski*, proboszcz par. Pikowo, dziekan winnicki, oddał Bogu świętobliwego ducha w Kowlu.





Ś. p. Ksiądz Julian Piontek.

Nekrologia.

Ś. p. Ksiądz Julian Piontek.

Dnia 26 lipca roku bieżącego zmarł w Chlewiskach, Dyecezyi Sandomierskiej ś. p. ksiądz Julian Piontek, w czterdziestym roku życia.

Zmarły kapłan urodził się w Łagowie, małem miasteczku, położonem u podnóża gór Świętokrzyskich.

Oddany w dzieciństwie przez niezamożnych, ale wielce bogobojnych rodziców do szkół, chlubnie ukończył gimnazyum kieleckie, gdzie się pięknie uczył i pięknie zachowywał, a idąc za pragnieniem zdobycia większej wiedzy, wstąpił do uniwersytetu i oddał się z zapałem nauce medycyny.

Kiedy ś. p. ksiądz Juljan w pojęciu świata był blizkim szczęścia, kiedy ten świat zdawał się stać dla niego otworem, wróżąc mu wszelką pomyślność, głos Chrystusa zawołał nań: „Pójdź za mną!“

Poznał, że go Bóg woła do swej świątyni, usłuchał tego głosu i udał się do Seminaryum duchownego w Sandomierzu, które ukończył w roku 1884 roku.

W tym pamiętnym roku spełniły się najgorętsze pragnienia ś. p. Ks. Juljana. Został kapłanem — sługą ołtarza, żołnierzem Chrystusa i poszedł z chętnem sercem do pracy apostolskiej, poszedł śladem Swego Mistrza i był nauczycielem błądzących, pociechą strapionych, pomocą ubogich i nieszczęśliwych.

Serce jego niesłychanie dobre, rozum obdarzony wyjątkowemi zdolnościami, charakter miły i łagodny, oblicze zawsze opromienione tym anielskim uśmiechem, który daje pokój i pogoda ducha, podbijały mu serca wszystkich i wszyscy miłowali go, jak anioła Bożego.

Żarliwość o chwałę Bożą i świetność przybytków Pańskich „pożerała go.“

Już w Radomiu, gdzie pierwsze lata kapłaństwa spędził, wielce się przyczynił do przyozdobienia tamtejszej świątyni i do budowy nowej zachęcał, a w Bliżynie, gdzie jako rządca parafii przez jedenaście lat pracował, wybudował kościół, cały z kamienia ciosowego, wspaniały i monumentalny, który przez długie wieki będzie świadczył o niepożytej gorliwości dobrego pasterza.

Z pomocą duchowną, bez względu na pracę i wątłe zdrowie, pierwszy przybywał i nie było prośby, którejby komukolwiek odmówił.

To też go miłował Najdostojniejszy Pasterz ś. p. Ksiądz Biskup Sotkiewicz i szczególniejszem zaufaniem zaszczycał, miłowali go kapłani, jak brata, miłował lud jak prawdziwego posłańca Bożego.

Słusznie można zastować do ś. p. Juliana słowa Apostoła Narodów: „Będąc wolnym, stał się niewolnikiem wszystkich, aby ich więcej pozyskał... Wszystkim stał się wszystkiem, aby wszystkich zbawił“ (Cor. IX).

Za trudy i prace, za gorliwość i poświęcenie się dla chwały Bożej ś. p. Ksiądz Biskup przeznaczył Ks. Juliana w roku zeszłym na jedno z rzędu najpoważniejszych probostw w dyecezyi i oddał mu w zarząd parafię Krępa; ale tu zaledwie parę miesięcy przebywszy, powołany został na wakujące probostwo w Chlewiskach. Ze zwykłą sobie energią i zapałem, z wielką znajomości rzeczy zabrał się do pracy. Rozważał projekt budowy nowego kościoła, rozpoczął budowę pięknej plebanii i tu go z nienacka zaskoczyła śmierć, która takie uczyniła wrażenia, jak piorun, kiedy blizko uderzy.

Piękne i pracowite było życie tego kapłana, to też i śmierć mu Bóg dał piękną. Nakrótko przed chorobą odbył w Sandomierzu rekolekcye i korzystał z odpustu jubileuszowego, a po powrocie mówił do piszącego te słowa: „Odbyłem Spowiedź świętą z całego życia, i dostąpiłem odpustu—gotów jestem dziś umrzeć.“ Było to w dzień świąteczny odpustowy.

Od rana gromadził się lud do kościoła chlewiskiego i zjeżdżali się sąsiedzi kapłani.

Wszystko po dawnemu, tylko plebanię jakiś smutek otoczył.

Tam dogorywał proboszcz chlewiski ś. p. ks. Julian Piontek.

Przy jego łożu klęczała siostra wdowa z trojgiem dzieci, których był opiekunem i starzy rodzice w niemej rozpaczy.

Chory, w ciężkiej gorączce, wznosi oczy na wiszący krzyż i śpiewa: „Credo in unum Deum”.

Chwila ostatnia.

Lud po cmentarzu obchodzi procesyę z Panem Bogiem utajonym w Najświętszym Sakramencie, chory słyszy pobożne pienia, zalewa się

łzami i śpiewa: „Niechaj będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament” i kona.

Sprawdziły się na tym zmarłym kapłanie słowa Mądrości Bożej:

„Błogosławiony człowiek, który mię słucha i który czuje u drzwi moich na każdy dzień i pilnuje podwoi drzwi moich”.

Wogóle śmierć każdego kapłana szerokiem rozchodzi się echem. Spieszą sąsiedzi z ostatnią bratnią posługą, gromadzi się licznie lud, cały obrzęd pogrzebu odbywa się smutnie i imponująco. Lecz pogrzeb ś. p. ks. Juliana był więcej jak smutny, więcej jak imponujący.

Nie tylko w parafii, lecz w całej okolicy rozległo się jedno wielkie echo żalu i płaczu.

Z parafii Bliżyńskiej, o trzy mile odległej, cały zarząd fabryczny i wszystek lud pospieszył oddać zmarłemu ostatnią posługę.

Na pogrzeb przybyło kilkudziesięciu kapłanów.

Już na eksportacyi, w wigilję pogrzebu, kościół był przepełniony.

Widok trumny, mieszczącej zwłoki ukochanego kapłana, obudził taki płacz, że głuszył żałobne pienią i jęki dzwonów.

Kapłani i urzędnicy z fabrycznych dóbr Bliżyna i Chlewisk na swych barkach zanieśli trumnę na miejsce wiecznego spoczynku.

Żałobny orszak poprzedzały dwie orkiestry, bliżyńska i chlewiska.

Dziesięć wspaniałych wieńców od rodziny i parafian złożono na trumnie.

Żałobny pochód poprzedzały dwa długie szeregi kapłanów, a dalej niezliczone mrowisko ludu. Po trzech żałobnych przemowach wygłoszonych w czasie obrzędu pogrzebowego: przez niżej podpisanego, przez ks. Gołębiowskiego i ks. Puławskiego, na ostatnie pożegnanie zabrał głos nad grobem w porywających i rozrzewniających słowach hr. Konstanty Broël-Plater, przyjaciel zmarłego kapłana.

Znalazłeś, dobry Pasterzu, zasłużoną cześć u ludzi, niech Cię jeszcze Bóg dobry za twe prace nagrodzi w wieczności.

Ks. P. Posłuszyński.



O miejscach pielgrzymek.

III.

Co jest dobre i piękne samo w sobie, zazwyczaj ma nieprzyjaciół w osobie tych, którzy nie mogę go zdobyć sobie na własność dla braku siły lub woli. Jak wspaniałe obrzędy Kościoła—okazałe nabożeństwa wielu liczyły przeciwników z pośród heretyków, tak też i święte pielgrzymki, tyle łask wielu duszom jednające, nie zostały wolne od pewnych zarzutów z ich strony.

Zarzucano często temu pobożnemu zwyczajowi,—że przyczynia się do zgorszenia, podając wielu okazyę do złego. Przytaczano w tym celu dawne łacińskie przysłowie: „kto wiele pielgrzymuje — rzadko się zbawia.“ Kościół Swięty jednak nie zwraca uwagi na nieprzyjazne heretyków lub złych chrześcijan mowy, lecz jak dawniej, tak i teraz wiernych swoich do pielgrzymowania zachęca. Jak niesprawiedliwymi są zarzuty przytaczane, każdy rozważny człowiek łatwo zauważy. Że mogą się zdarzyć w kompaniach zgorszenia, lub nadużycia — tego nie przeczymy. Lecz czyż dlatego, że pojedyncze osoby nadużyły dobrego celu i nagięły go do swych złych skłonności, mamy cały ogół o złość obwiniać? Czyż dlatego, że wsi lub gromadzie zdarzył się jeden lub dwu pijaków, możemy całą wieś lub gromadę pijacką nazywać? Wszakże najsurowsze sądy za występki kilku jednostek nie obciążają niesławą całej gromady, nie ciągną do więzienia razem z nimi całych ich rodzin! Wszystkim wiadomo, że zdarzają się jednostki wśród ludzi tak złe, że najświętszych rzeczy potrafią nadużyć, a więc i na miejscach łaskami wsławionych potrafią skorzystać ku zgorszeniu ogółu z okazyi na, stręczającej się im do występków. Są inni jeszcze, co w tym celu, tylko idą w podróż, aby zadość uczynić swym zwierzęcym instynktom. Lecz czyż z tych poszczególnych wypadków możemy na cały ogół piel-

grzymki rozciągnąć odpowiedzialność? Czyż byłaby słuszna racya, do wzbronienia pielgrzymek wskutek zeszłych między pątnikami niekiedy jakich występków? Cóżbyśmy powiedzieli na to, gdyby Kościół Świętego dlatego, że wielu niegodnie przystępuje do Sakramentów Świętych, 'mówił ich wszystkim wiernym? — Wreszcie są źli ludzie z zawodu, którzy nie należą do żadnej kompanii. Przybyli oni tak na odpust, jak szli przedtem na jarmark. Jako narzędzia w ręku szatana, — szukają oni na każdem miejscu swej ofiary. Przybyli oni tem chętniej na miejsce święte, bo tam widzieli obszerniejsze pole dla posiewu kąkolu. Pan ich, duch ciemności, posłał ich tam, gdzie jest najobfitszy posiew czystego ziarna.

Dlatego też Kościół Święty nie zraził się pojedyńczymi wypadkami, nie uląkł się niecnych i burzliwych występków heretyków i przeciwników pielgrzymek, lecz zawsze zalecał tę świętą praktykę i zalecać ją będzie swym wiernym. Jest bowiem Kościół Świętego tego zdania, że praktyka dobra i zbawienna, przynosząca wiele korzyści, nie powinna być znoszoną, lecz tylko nadużycia przestrzegane i usuwane. Dlatego też pasterze powinni przestrzegać pątników przed wyjściem ich w podróż, aby się strzegli owych wilków w owczej skórze przychodzących, fałszywych proroków i podstępnych gorszycieli.

Nic dziwnego że heretycy i niedowiarkowie są przeciwnikami pielgrzymek. Protestanci, Kalwiniści, Wiklefici, Hussyci, Waldensi i inni heretycy lub niedowiarkowie w swojem zaślepieniu odrzucili oddawanie zewnętrznej czci Bogu, — tłomacząc sobie, że Bogu należy się cześć tylko duchowa. Przeczystej Bogarodzicy odwówili należnych Jej praw i przywilejów, a Świętych wcale za takich uznać nie chcą. Potępiają więc pielgrzymki, bo one są zewnętrznym objawem czci należnej Bogu. Nie chcą uznać słusznemi podróże do miejsc świętych przez Matkę Najświętszą wsławionych, bo oni nie mają czci, ani miłości ku Niej. — Naganiają odwiedziny grobów świętych, bo oni nie chcą uznać, ani świętych, ani dogmatu, zawartego w słowach „wierzę Świętych obcowanie“ Dla przyczyn dobrych i sam szatan radby znieść pielgrzymki, gdyż one mu wiele ofiar wydzierają, zachęcając ludzi do wielkiej ufności w Boga i umacniając w dobrem.

Przeciwnie zaś z historyi widzimy, że wszyscy wielcy uczeni i święci życiem mężowie, zalecają pielgrzymki i uważają je za najlepszy środek okazania czci Bogu oraz najdoskonalszy sposób odpokutowania za grzechy.

Ks. Wincenty Bogacki.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Zdrowaś, Maryo!

Zdrowaś Maryo, kiedy ziemska trwoga
Duszą mą miota w cierpienia godzinie,
Co Ciebie wtedy, Święta Matko Boga,
Pieśń ma do niebios, z piersi drżących płynie.
Spójrz, Miłosierna, ześlij w duszę blaski,
Królowo dziewic, Panno pełna łaski!
Arko przymierza, liljo z lilii biała,
Wśród niewiast ziemi Ty błogosławiona,
Któraś bez zmazy Syna światu dała,
Aby na krzyżu swe rozpiął ramiona,
Za lud, co lżył go bezbożnemi słowy.
Spójrz na mnie, Święta tarczo Częstochowy!
Kiedy zwątpienie duszę moją trzyma,
Cierń bólu serce moje krwawi,
Ku Tobie patrzę tęsknemi oczyma,
Niech Twoja ręka mi pobłogosławi,
Rozproszy ciemność i gromy nad głową,
Na Jasnej-Górze, przeczysta Królowo!

Władysław Karoli.



Odpowiedzi od Redakcyi.

Czcigodnym Księżom: *W Bojarczykowi*, Wojsławice, gub. Lub. Ks. *A. Badowskiemu* Smardzewice, gub. Kiel; Ks. *Bublowi*, Staromieście p. Koniecpol. gub. Piotrkowskiej; Ks. *Piotrowi Czerna*, Bebelno, gub. Kielec; Ks. *Dziamarskiemu*, Gombin, gub. Warszawka; Ks. *Wł. Dworzeckiemu*, Ostróg, Wołyń; Ks. *P. Folfasińskiemu*, Pacanów, gub. Kieckiej. Ks. *M. Gajosowi*, Probołowice, g. Kiel; Ks. *St. Górniakowi*; Sekretarzowi Konsystorza Włocławskiego; Ks. *Hofmanowi*, Bałdrzyków; Ks. *Horkiewiczowi*, Tynna, gub. Podolska; Ks. *W. Jurgiłasowi*, Metele gub. Suwalska; Ks. *Ingielewiczowi*, Konieczno, gub. Kielecka; Ks. *Ant. Jurek*, Szczaworyż, gub. Kielecka; Ks. *Janeczko*, Sokolina, gub. Kielecka; Ks. *Janowi Kretowiczowi*, Wilno; Ks. *Wł. Leonowiczowi*, Orszymowo p. Wyszegród; Ks. *Metelskiemu*, Tetiew; Ks. *L. Molle*, Grabowiec, gub. Lu- Ks. *K. Nowakowi*, Poznań; Ks. *Ł. Orłowiczowi*, Pierewały, gub. Wołyńskiej; Ks. *St. Olechnowiczowi*, Lutomiersk, g. Piotrkowska; Ks. *Plewowskiemu*, Kwiatkowice, gub. Piotrkowska; Ks. *Perzanowskiemu*, Rzeczyca Ziemiańska, gub. Lubelska; Ks. *Przemockiemu*, Bychów; Ks. *Patkowskiemu*, Luborzyca, gub. Kielecka; Ks. *Pietkiewiczowi* Trostjany, gub. Grodzińska; Ks. *Rogowskiemu*, Wilno. Ks. *Sobolewskiemu*, Indura, gub. Grodzieńska, Ks. *Szymońskiemu*, Kraśnik, gub. Lubelska; Ks. *Słapczyńskiemu*, Trzebieszow, gub. Siedlecka; Ks. *Szkopowi*, Lackie, gub. Wileńska; Ks. *Tomaszewskiemu*, Kaski. Ks. Prałatowi *Wnukowskiemu*, Żytomierz; Ks. *Wijasińskiemu*, Zbilutku gub. Radomskiej; Ks. *Żakowskiemu*, Bejsce, gub. Kieleckiej, oraz Szanownym Panom: S. Welmanowi, Łódź; Komorowskiemu Kielce; Kośmiderowi, Krzeczow; Rosowskiemu, Władysławów, gub. Połt.; Pieczewskiemu, w Romanach; Józefowi Hüppe, Łódź, i Szanowym Paniom: G. Bukowskiej, Laski, gub. Kieleckiej; Antoninie Orłowskiej, Lwów, i Janinie Izdebskiej, Kraków. Za słowa zachęty, uznania i życzliwe rozpowszechnianie naszego pisma serdeczne przesyłamy podziękowania.



Nowe książki.

Z książek najnowszych, bardzo pożytecznych, wymieniamy:

Apologetyka wiary świętej dla młodzieży, przez d-ra J. Schmitza, przekład z niemieckiego. (Nakład synów St. Niemiry). Dziełko zbija zarzuty, stawiane przez niedowiarków i nieprzyjaciół religii. Kto wierzy silnie, niezłomnie, zgodnie z nauką Kościoła — Macierzy, ten się obejdzie bez pomocy dziełka; ale, kto obcując z inowiercami, dając im ucha, zachwieje się w swych przekonaniach, ten znajdzie w „Apologetyce" oręż skuteczny ku odparciu napaści i własnych zwątpień.

Ofiary na odbudowanie wieży Jasnogórskiej.

Maryanna, służąca W-nych St. Borkowskich z Dąbrowy Górniczej . . . . 10 rb.

Urzędnicy i robotnicy stacyi Kłomnice Dr. Żel. Warsz. Wied., tudzież oficyaliści sąsiednich majątków . . . . 15 rb.

Parafianie Rokitno dekanatu Włoszczowskiego dyecezyi Kieleckiej z proboszczem ks. Wojciechem Karwatem . . . . .100 rb.

Razem 125 rb.